**Dziś w numerze:** J. WILMAŃSKI **Cmentarz czterech milionów** ● R. ŁOBODA **V Warszawskie Spotkania Teatralne** ● I. SIKIRYCKI **Siedmiu nieobecnych** ● **„Lohengrin"** ● **Laureaci nagród m. Łodzi** ● **O pisarstwie i stylu** ● **Zewsząd o wszystkim**

# odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

1. II. 1970 r.
5 (637)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

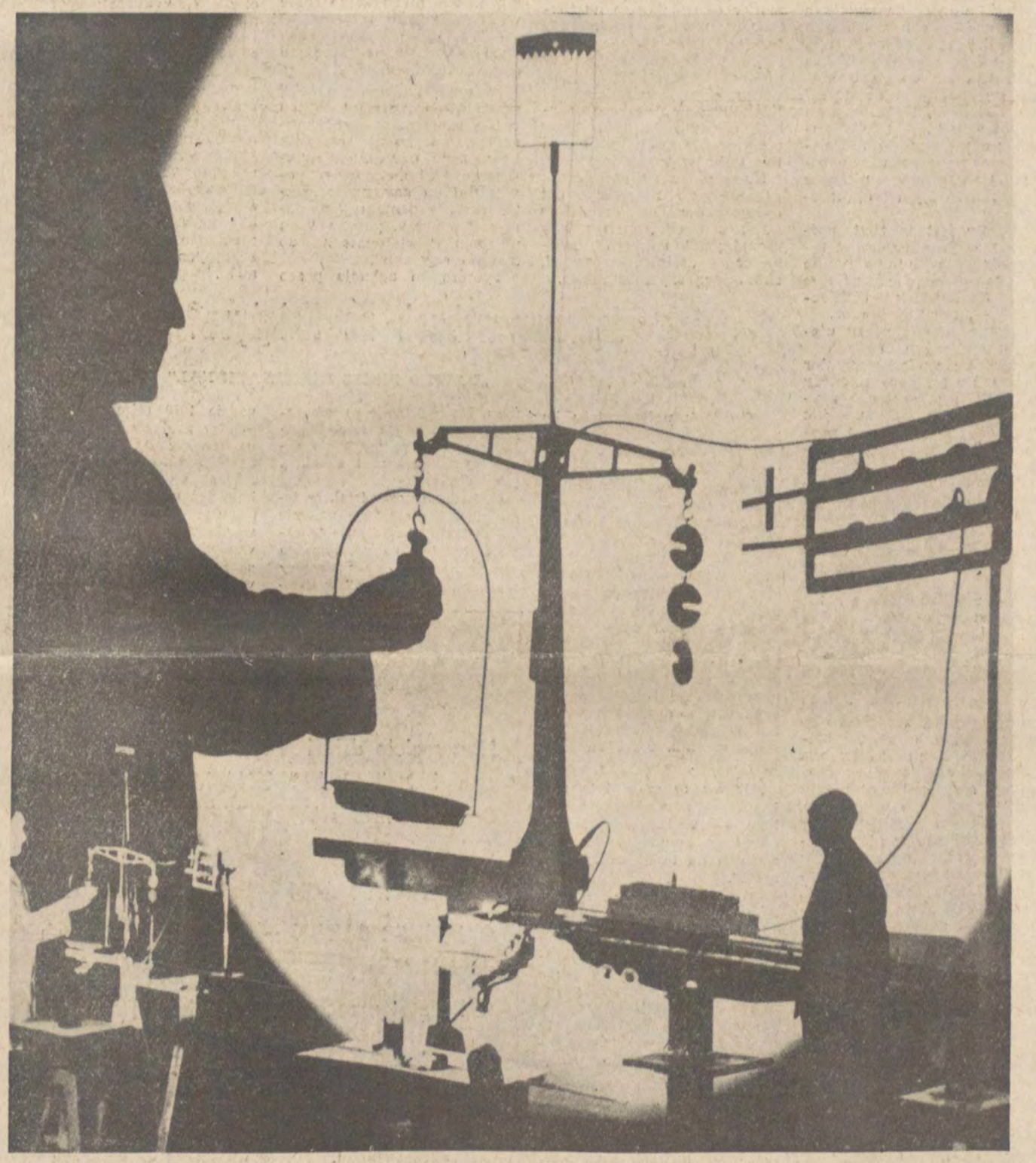

KONRAD FREJDLICH

## Laboro ergo sum

### (Uwagi na marginesie Plenum Zarządu Głównego ZLP)

Kiedy w ubiegłym roku tygodnik „Kultura" przedstawiał książki pisarzy polskich uznane przez redakcję za reprezentatywne dla dorobku ćwierćwiecza, obraz literatury polskiej mógł zaimponować zarówno rozległością jej zainteresowań formalnych, jak też skalą tematów, które znalazły swoje odbicie na jej kartach. Szacunek nasz dla dokonań współczesnej prozy musi być tym większy, że dzieła te powstały w okresie dwóch dziesięcioleci, a to w historii literatury okres doprawdy niedługi.

Ale zestawienie „Kultury" obnaża także rażącą słabość naszej prozy powieściowej. Jest bowiem rzeczą uderzającą, że wśród współczesnych arcydzieł z trudem udałoby się wskazać książkę, którą można uznać za par excellence powieść o pracy, o ludzkim wysiłku. Nawet znakomita powieść Igora Newerlego „Pamiątka z Celulozy", stosunkowo najbliższa temu modelowi, jest przede wszystkim książką o walce proletariatu i tylko posługuje się akcesoriami pracy. Wreszcie, co może jeszcze istotniejsze, posługuje się egzemplifikacją historyczną. Tymczasem bohater współczesny, człowiek pracy dzisiaj, wciąż czeka na swoją powieściową kreację.

Problem ten jest zresztą bardzo trudny i złożony, bo choć nie brak książek podejmujących ten odpowiedzialny temat, rezultaty artystyczne są dość przeciętnej próby. Miarą trudności w tej dziedzinie niech będzie fakt, że w Związku Radzieckim, gdzie kładzie się przecież silny akcent na polityczne zadania literatury, powieści o pracy także nie zaliczają się do arcydzieł, nie osiągnęły tej rangi artystycznej, co, na przykład, epopeje wojenne.

Czyżby więc temat pracy ludzkiej nie nadawał się do literackiej obróbki? Czyżby rozległa dziedzina działalności ludzkiej, angażująca często całą aktywność życiową jednostek i narodu, zamknięta była dla współczesnej prozy powieściowej? Czyżby pisarz podejmujący ten odpowiedzialny temat współczesny skazany był a priori na artystyczną porażkę?

Pytania te, które można zresztą mnożyć, nasunęły mi się w związku z sesją wyjazdową Zarządu Głównego ZLP w Łodzi, poświęconą problematyce pracy w polskiej literaturze współczesnej. Obrady z udziałem przedstawicieli wszystkich środowisk pisarskich naszego kraju potwierdziły celowość zwołania takiej sesji a i miejsce obrad okazało się szczęśliwe dla dyskusji. Może dlatego, że rozmowy typu seminaryjnego toczyły się w obecności władz politycznych miasta, a ich obecność na obradach nie była tylko grzecznościowym gestem.

Sesja, o której mowa, zawdzięcza swe powodzenie z jednej strony ogromnemu wysiłkowi organizacyjne-

Dalszy ciąg na str. 5

## UNIWERSYTET ŁÓDZKI WCZORAJ I DZIŚ

**DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT TEMU POWOŁANO DO ISTNIENIA WYŻSZE SZKOLNICTWO W ŁODZI. ZNACZENIE TEGO FAKTU MOŻEMY OCENIĆ ZWŁASZCZA DZIŚ, PO LATACH, KIEDY WYŻSZE UCZELNIE ŁÓDZKIE ODGRYWAJĄ CORAZ POWAŻNIEJSZĄ ROLĘ W ŻYCIU KULTURALNYM MIASTA I NASZEGO KRAJU.**

**„Odgłosy" zwróciły się do b. rektorów Uniwersytetu Łódzkiego z prośbą o wspomnienia na temat pracy tej uczelni w okresie, kiedy kierowali jej działalnością. Jako pierwsze materiały cyklu wspomnieniowego publikujemy wypowiedzi profesora dr TADEUSZA KOTARBIŃSKIEGO i prof. dr JANA SZCZEPAŃSKIEGO. W przygotowaniu wypowiedzi prof. dr JÓZEFA CHAŁASIŃSKIEGO i prof. dr ADAMA SZPUNARA.**

**Cykl zakończy wywiad z rektorem UŁ, prof. dr ZDZISŁAWEM SKWARCZYŃSKIM na temat roli, jaką uczelnia ta odgrywa dzisiaj, jako ośrodek myśli humanistycznej.**

**TADEUSZ KOTARBIŃSKI**

Teraz, po tylu latach, po upływie ćwierć wiecza, wcale nie tak łatwo jest mi mówić o początkach Uniwersytetu Łódzkiego. Jak się to wszystko zaczęło? Krępuje mnie nieco obawa, że niektóre fakty zatarły się już w moim wspomnieniu, że wyszły mi już z pamięci pewne nazwiska ludzi, którzy także dźwigali brzemię pracy organizatorskiej. Rok 1945, ostatni rok wojny, obfitował przecież w tyle zdarzeń.

U progu wyzwolenia znajdowałem się w Radomiu, gdzie prowadziłem semestr akademicki wydziału filozoficznego konspiracyjnego Uniwersytetu. Z inicjatywy początkującego wówczas uczonego, dziś profesora, znawcy logiki chińskiej, p. Janusza Chmielewskiego, zorganizowałem tam studia filozofii o typie magisterskim. Wiosną roku 1945 Uniwersytet Radomski zakończył swoją działalność. Wówczas też przyjechali do mnie dwaj przedstawiciele władz z Warszawy. Obaj zainteresowani byli sprawą odbudowania oświaty w naszym kraju tak doświadczonym przez wojnę. Pamiętam, że nie proponowali mi wtedy przenosin do Łodzi, mówiliśmy o Warszawie. Chcieli, abym należał do grona ludzi, którzy wskrzeszą wyższe szkolnictwo. Roztoczyli przede mną interesujące perspektywy, w ostatniej jednak chwili powstała kwestia zorganizowania Uniwersytetu Państwowego w Łodzi.

Człowiekiem, którego przeszłość desygnowała na organizatora tej placówki, był Teodor Vieweger. Związany od dawna z Łodzią miał duże doświadczenie organizatorskie jako rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej, która działała od roku 1928. Miał on własną koncepcję uczelni, uważał bowiem, że Uniwersytet powinien być kontynuacją dawnej Wszechnicy. Popierali go w tych zamiarach byli wykładowcy Wolnej Wszechnicy, którzy po wyzwoleniu skupili się wokół niego.

Powstała więc kwestia stosunku Wolnej Wszechnicy do Uniwersytetu Państwowego i odwrotnie.

Dalszy ciąg na str. 3

## ŚWIATA

*Problematyka niemiecka utrzymuje się od pewnego czasu w orbicie wzmożonego zainteresowania opinii publicznej. Stąd i większość komentarzy podejmuje to zagadnienie. Tematyka niemiecka otworzy również dzisiejszą pozycję „Ze świata". W ub. tygodniu omawialiśmy orędzie kanclerza Brandta „O sytuacji narodu", dziś chcemy skomentować konferencję prasową przewodniczącego Ulbrichta, w czasie której złożył on ważne oświadczenie.*

*Konferencja przewodniczącego Rady Państwa NRD wzbudziła zainteresowanie już samym fakt tem jej zwołania, jako że do praktyki takiej nie odwoływano się dawno. Obecnie, złożone na tej konferencji, oświadczenie Waltera Ulbrichta i jego odpowiedzi na pytania są przedmiotem analiz w Bonn. Równocześnie Brandt przekazał premierowi Stophowi pismo, wyrażające gotowość podjęcia rozmów z NRD na szczeblu ministrów. List nie zawiera jednak żadnej opinii Bonn na temat projektu układu, przedstawionego przez NRD. (Omawialiśmy go na tym miejscu). A właśnie układ był osią konferencji prasowej Ulbrichta.*

*Stwierdzając, iż NRD odnosi się do zawarcia takiego układu z całą powagą, Ulbricht podkreślił:*

**„Historyczna konieczność pokojowego współistnienia obu państw niemieckich oraz doświadczenia ostatnich 20 lat sprawiają, że jest nieodzowne uzgodnienie w formie układu normalnych, równoprawnych stosunków — w oparciu o prawo międzynarodowe, wolnych od wszelkiej dyskryminacji",**

*Istnienie dwóch państw niemieckich jest faktem. Zauważył to także nowy rząd boński. Jest więc logiczne, że znormalizowanie stosunków może dokonać się tylko na zasadzie równoprawności. W przedłożonym przez NRD projekcie układu zasada ta jest zachowana i — jak podkreślił W. Ulbricht — „nie ma żadnego postanowienia, które by faworyzowało NRD i upośledzało NRF". Projekt bierze za punkt wyjścia całkowicie równe prawa i obowiązki. NRF uważa siebie ( a NRD nie ma przeciwko temu żadnych zastrzeżeń) za państwo uznane z punktu widzenia prawa międzynarodowego. NRD nie chce niczego innego, domaga się tego samego dla siebie. Niestety, Brandt oświadczył przed Bundestagiem, że pełne uznanie NRD nie wchodzi w rachubę. Jednocześnie jednak wysunął propozycję układu lub wymiany deklaracji o wyrzeczeniu się siły między NRD a NRF. Oto jeden z przykładów niekonsekwencji. Zwrócił na to uwagę W. Ulbricht:*

**„Jest elementarną prawdą — oświadczył — że ważne z punktu widzenia prawa międzynarodowego układy o wyrzeczeniu się siły mogą być zawierane tylko między państwami, które uznają się nawzajem w świetle prawa międzynarodowego, to jest uznają się za podmioty prawa międzynarodowego".**

*Sens oświadczenia przewodniczącego Rady Państwa NRD sprowadza się do stwierdzenia: jeśli rząd boński pragnie prowadzić rozsądną politykę — musi:*

*uznać status quo w Europie, a w tym — zgodnie z prawem międzynarodowym — państwową egzystencję NRD oraz granice państwowe,*

*wyrzec się roszczeń do wyłącznego reprezentowania narodu niemieckiego oraz doktryny Hallsteina,*

*zaniechać wszelkich prób dyskryminacji NRD i jej obywateli,*

*podjąć normalne równoprawne stosunki z drugim państwem niemieckim.*

*Konferencja prasowa w Berlinie wschodnim odbiła się głośnym echem w prasie światowej. Komentatorzy eksponują w swych publikacjach zarówno to, iż Ulbricht pozostawił otwarte drzwi do rozmów, jak i to, że takie ewentualne rozmowy byłyby bardzo trudne, złożone i długo trwałe.*

*Z Europy przenieśmy się do Ameryki, aby omówić jeszcze jedno wystąpienie. Tym razem prezydenta Nixona — „Orędzie o stanie państwa".*

*Zwraca uwagę przede wszystkim to, iż w ogromnej większości było ono poświęcone sytuacji wewnętrznej. Zdaniem wielu obserwatorów fakt ten sygnalizuje „istotny zwrot w amerykańskim sposobie myślenia, a mianowicie odwracanie uwagi od angażowania się na arenie międzynarodowej i koncentrowania się na wielkich problemach wewnętrznych".*

*Spośród tych ostatnich Nixon wymienił jako najważniejsze: inflację i stałe wzrastanie kosztów utrzymania, gwałtownie nasilającą się przestępczość oraz zatruwanie naturalnego otoczenia.*

*Problematyka międzynarodowa zajęła w orędziu tylko kilka akapitów i sprowadzała się do ogólników. Ze słów prezydenta USA dowiedzieliśmy się, że Stany Zjednoczone „główny i najbliższy cel upatrują w położeniu kresu wojnie w Wietnamie", że stosunki z europejskimi sojusznikami są „ponownie mocne i zdrowe", że do krajów Ameryki Łacińskiej Stany Zjednoczone „odnoszą się jako partner, a nie jako patron", że kraje Azji „powitały z uznaniem koncepcję nowego partnerstwa" oraz że USA przechodzą „z precyzją i świadomością celu z ery konfrontacji w erę negocjacji".*

*Pozostawiając czytelnikowi ocenę tych słów — raz jeszcze odwołajmy się do opinii amerykańskich komentatorów. Uważają oni, iż orędzie Nixona dobrze będzie przyjęte w stolicach światowych, ponieważ zapowiada... „zmniejszenie zaangażowania i obecności USA poza granicami".*

*Znamienne, prawda?*

*W. SŁAWSKI*



# Kursy języka rosyjskiego dla fachowców

**„SPIEGEL" — HAMBURG**

W zespole naukowym prof. Zygfryda Halbauera na politechnice w Hanowerze, każdy inżynier może się nauczyć języka rosyjskiego w stopniu pozwalającym na samodzielne czytanie literatury fachowej, wydawanej w Związku Radzieckim.

Dzisiaj, w środowiskach naukowych nikt nie kwestionuje faktu, iż znajomość języka rosyjskiego jest niezbędną, zwłaszcza dla specjalistów z zakresu nauk przyrodniczych i inżynieryjnych. Połowa wszystkich dzieł naukowych z różnych dyscyplin technicznych ukazuje się po rosyjsku. W Stanach Zjednoczonych tłumaczy się „od deski do deski" 160 radzieckich czasopism fachowych, ale teksty angielskie trafiają do rąk zachodnioniemieckich uczonych i techników nieraz z kilkumiesięcznym opóźnieniem.

„Często jest to zbyt późno, by w porę przerwać takie czy inne badania naukowe, prowadzone równolegle przez naukowców radzieckich" — mówi Halbauer.

Zorganizowane przez niego kursy języka rosyjskiego cieszą się wielką popularnością. Do tej pory ukończyło je 135 profesorów, asystentów i studentów, jak również inżynierów i pracowników naukowych, zatrudnionych w przemyśle. Według nowej metody prowadzi się naukę języka rosyjskiego na uniwersytetach w Erlangen, Stuttgarcie, Bonn i Bochum, a także w koncernie chemicznym „Bayer" w Leverkusen. Do Halbauera zwróciło się też kilka amerykańskich instytutów naukowych z prośbą o informację na temat nowego systemu nauki języka rosyjskiego.

Metoda Halbauera polega na odrzuceniu wszelkiego balastu zbędnych słów i nieprzydatnych elementów gramatyki. Przy pomocy maszyny elektronicznej ustalił on najczęściej występujące, a zarazem najważniejsze terminy naukowe w pięciu następujących dyscyplinach: „Przyrodoznawstwo i technika", „Matematyka", „Chemia", „Technika przetwarzania energii", „Hydrodynamika". Następnie maszyna elektroniczna politechniki hanowerskiej otrzymała po 21 tysięcy słów wybranych z około stu książek i artykułów danej specjalności. Dla rozdziału „Matematyka" mózg elektroniczny wyselekcjonował 202 stale powtarzające się terminy naukowe, dla rozdziału „Budowa turbin" — 215 itd. Otrzymano w ten sposób „minimum" słów niezbędnych z danej dziedziny naukowej. W systemie nauki języka rosyjskiego Halbauera tych właśnie słów uczą się jego słuchacze.

— Im węższy jest zakres uprawianej dyscypliny, tym mniejszy jest zapas niezbędnych słów — twierdzi Halbauer. Na przykład inżynier — specjalista od turbin, poznawszy swoich 215 terminów naukowych, przyswaja sobie tym samym 67 procent wszystkich słów, występujących w radzieckiej literaturze dotyczącej turbin, ponadto 15 proc. słów pochodzenia obcego brzmi tak samo w wielu językach.

Swój pierwszy podręcznik pt. „Język rosyjski dla specjalistów w dziedzinie nauk przyrodniczych i inżynieryjnych" uzupełnił Halbauer „mini-gramatyką", składającą się z 12 tablic.

# Kradzież w Watykanie

**„EPOCA" — MILANO**

W jeden z listopadowych dni ubiegłego roku, kiedy do wiernych, tłumnie zebranych przed bazyliką św. Piotra miał za chwilę przemówić papież Paweł VI, zbliżył się doń jego osobisty sekretarz Don Macci. Zaczerwieniona twarz prałata i widoczne oznaki zdenerwowania świadczyły, że wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Osobisty sekretarz papieża trzymał w ręku biuletyn informacyjny, dopiero co rozpowszechniony przez jedną z rzymskich agencji prasowych. Na pierwszej stronie widniała krótka informacja: „W Watykanie dokonano kradzieży skarbów na sumę jednego miliarda lirów"...

W dwie godziny później przed dziennikarzami, w jednej z sal pałacu watykańskiego, wystąpił rzecznik kancelarii papieskiej, monsignore Wallenck, który powiedział co następuje: „Kategorycznie dementujemy doniesienia prasy, jakoby w papieskich apartamentach dokonano rabunku".

Tymczasem agencja prasowa z uporem obstawała przy prawdziwości swych informacji, powołując się na źródła dobrze poinformowane.

Wreszcie pojawiła się w gazetach jeszcze jedna wiadomość: „Zrabowane obrazy (wymieńmy tylko dzieła Perugino, Van der Weydena i Mino da Fiesole) odnaleziono rzekomo w jednym z odosobnionych miejsc na terenie Watykanu".

Być może, skradzione obrazy były tylko mistrzowsko wykonanymi kopiami, czego nie dojrzy mało wprawne oko. Niewykluczone również, że obrazy mogli ukraść ludzie, którzy występują z ostrą krytyką Kościoła, żądając, aby wyrzekł się swych bogactw i rozdał je biedakom. Przypuszczenie to nie jest pozbawione podstaw, ale można by wysunąć jeszcze jedno wprawdzie mniej wiarogodne: sam Paweł VI wydał swej administracji dyspozycję sprzedania obrazów, aby uzyskane w ten sposób pieniądze obrócić na jedno z tajnych poczynań Watykanu?...

# Jądrowy wybuch na Księżycu?

**„UNITED PRESS INTERNATIONAL" — NOWY JORK**

Geofizyk uniwersytetu kolumbijskiego, doktor G. Lathem, który jest głównym specjalistą programu „Apollo" w zakresie eksperymentalnych badań aktywności sejsmicznej zaproponował, aby w roku 1970 spowodować niewielki wybuch jądrowy na niewidocznej części Księżyca, w celu zbadania jego struktury wewnętrznej. Powiedział on, iż spodziewa się protestów opinii publicznej, niemniej propozycję swoją przedłoży w amerykańskiej akademii nauk. Dr Lathem oczekuje również sprzeciwu biologów, których niepokoi perspektywa ewentualnego zniszczenia życia na satelicie Ziemi.

„Obawy te są o tyle nieistotne — powiedział dr Lathem — że kosmonauci statków kosmicznych „Apollo" nie wykryli na Księżycu żadnego życia".

Jak wynika ze słów amerykańskiego uczonego, wybuch jądrowy o mocy 1—5 kiloton spowodowałby fale sejsmiczne, które, po przejściu przez jądro Księżyca, zostałyby zapisane na taśmach przyrządów pomiarowych. Przyrządy te mogliby pozostawić kosmonauci na widocznej stronie Księżyca. Na podstawie owych zapisów geologowie stwierdziliby, czy Księżyc ma takie samo jądro, płaszcz i skorupę, jak Ziemia.

G. Lathem powiedział, że jego plan, który uważa na razie za wstępny, przewiduje transport bomby na niewidoczną stronę Księżyca przy pomocy rakiety „Atlas-Agena" w listopadzie 1970 roku, w okresie między zaplanowanymi lotami na Księżyc statków kosmicznych „Apollo-15" i „Apollo-16".

Idea wybuchu sondującego była już podnoszona wiele lat temu przez znanego fizyka Edwarda Tellera, profesora uniwersytetu w Kalifornii, jednego z twórców bomby wodorowej.

**W następnym numerze „ODGŁOSÓW":**

**Nauczyciele dziś i jutro — z przewodniczącym ZO ZNP KLEMENSEM KWIATKOWSKIM rozmawia WŁODZIMIERZ STOKOWSKI**

**◆ JOLANTA MACH — Szekspir w westernie**

**◆ JANUSZ DUNIN — O wolnych żartach pani Heleny**

**◆ Felietony, recenzje, nowela kryminalna**

## Listy do Redakcji

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

Z melancholią czytałem w 48 (628) numerze „Odgłosów" felieton Józefa Grzelaka — „Historyczny eksport". Chciałbym jego wywody nieco uzupełnić.

W USA, co roku ukazuje się wydawnictwo „The World Almanac", które w katalogu biblioteki Kongresu USA zarejestrowane jest pod numerem 4—3781. Książka ta zawiera wiele informacji o USA, ale i dział zagraniczny rozbudowano w niej do pokaźnych rozmiarów. W książce tej znajdujemy niewiele informacji o naszym kraju, a te które zamieszczono, są, niestety, bałamutne, lub błędne.

Oto w telegraficznym skrócie historii Polski dowiadujemy się, że w latach 1939—1945 nasz rząd działał w Londynie. W kraju zaś powstał w 1944 r. Komitet Lubelski, który cieszył się poparciem J. Stalina i dzięki temu objął rządy. Kampania wrześniowa trwała wg tej książki do 27 września 1939. Ubytek ludności po wojnie autor wywodu tłumaczy tym, iż zmniejszyło się nasze terytorium państwowe. I to wszystko z opisu losu Polaków w okresie II wojny.

W rozdziale poświęconym naszym pobratymcom wzmiankuje się o powstaniu słowackim, Lidicach, zamachach na wybitnych hitlerowców. Informuje się też czytelnika, że w Czechosłowacji działał silny ruch oporu.

O nas wzmianki to — udział żołnierzy polskich w walkach na wszystkich frontach, nawet istnienie formacji WP na Zachodzie, zdobycie Monte Cassino, na którym Amerykanie połamali zęby. Nic nie mówi się o powstaniu w Warszawie, o Oświęcimiu, Majdanku oraz tysiącach innych kaźni.

Spośród 26 najwybitniejszych postaci historycznych naszego kraju wymieniono obok Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Jana Sobieskiego — Ignacego Mościckiego i Stanisława Mikołajczyka. Ci ostatni okazali się lepsi od Jagiellonów, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Batorego. Spośród najwybitniejszych ludzi pióra wymieniono tylko dwóch pisarzy współczesnych: Scholem Ascha i Stanisława Mackiewicza. Kompozytorów znalazło się w spisie też dwóch: Fryderyk Chopin i Ignacy Paderewski. Z ludzi sztuki plastycznej wymienia się Stanisława Wyspiańskiego, o którym napisano, że był także naukowcem, zapomniano o jego twórczości literackiej.

Pewien dziennikarz amerykański, gdy wyśmiewałem te informacje, powiedział mi, iż Czesi, Węgrzy, Rumuni i inne nacje wydają doskonałe opracowania informacyjne, z których mogą korzystać ludzie nie znający ich języków. Dofinansowują oni także wydawnictwa które znają potrzeby swych czytelników na Zachodzie, lub tłumaczy, którzy przekładają ich książki na języki używane w krajach zachodnich. Tymczasem książek o polskiej literaturze, muzyce, malarstwie na Zachodzie na dobrą sprawę nie ma.

Tak więc czytelnik „The World Almanac" może dowiedzieć się dokładnie jakim dysponujemy potencjałem przemysłowym i w czym się specjalizujemy, dowie się też jaki jest stan liczbowy naszej armii i jej wyposażenie, nie dowie się wiele o kulturze i historii kraju. Być może pomyśli sobie, że jesteśmy dość silni i zamożni. Nic więcej.

Jakże aktualny wydaje się żal Norwidowy, iż u nas „jeniuszy docenia się po śmierci". Nie dziwmy się więc, że naszych Witkacych, Makowskich, czy Szymanowskich odkrywa się na Zachodzie po latach i to najczęściej przypadkowo. A przecież nikt inny, jak właśnie oni przysparzają splendorów krajowi, który na nie zasłużył.

Łączę wyrazy poważania.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

*Tadeusz Kotarbiński* *Fot. A. Wach*

# Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś

**JAN SZCZEPAŃSKI**

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy przyjechałem do Łodzi, byłem daleki od tych sporów. Przygotowałem się na przyjęcie stanowiska zastępcy Viewegera, którego kandydaturze na rektora słusznie sprzyjało grono koleżeńskie. Zresztą sprawą najważniejszą było podjęcie wykładów, rozpoczęcie pracy naukowej i dydaktycznej. Najnieoczekiwaniej wszelkie spory o koncepcję Uniwersytetu Łódzkiego przerwała śmierć Viewegera, który zginął w wypadku samochodowym.

Wtedy to powierzono mi kierowanie pracami przy tworzeniu łódzkiej uczelni. Od grona wykładowców byłej Wszechnicy Polskiej przejąłem agendy organizacyjne. Czynnie zaangażowani w tych zajęciach byli profesorowie: Józef Chałasiński, Marian Grotowski i Stanisław Ossowski. Z ich rąk przejąłem materiały i zabrałem się do pracy organizacyjnej ściśle współdziałając z tymi naukowcami. Czynnie pomagali mi w tych przygotowaniach profesorowie: Bolesław Wilanowski, Borys Łapicki, Henryk Ułaszyn i Wincenty Tomaszewicz. Główny ciężar prac wziął na siebie prof. Zygmunt Szymanowski, sprawujący funkcję prorektora.

Trzeba było zorganizować wszystko od podstaw. Uniwersytet przecież dopiero się kształtował. Ciągle też pracom nie było końca. Aby umożliwić prawidłowe funkcjonowanie wszystkich wydziałów, trzeba było przede wszystkim ściągnąć pewną liczbę uczonych spoza Łodzi. To sprawiało najwięcej kłopotów, bo cały kraj odczuł na sobie krwawe żniwo wojny i okupacji. Pojechałem do Krakowa, gdzie sytuacja przedstawiała się najlepiej, przeprowadziłem rozmowy, które dały pewne rezultaty.

Przybyli więc np. do Łodzi z Uniwersytetu Jagiellońskiego profesorowie: Adamczewski, Kielski, z Torunia Kolankowski. Grono wykładowców Uniwersytetu Łódzkiego reprezentowało wysoki poziom wiedzy w różnych dyscyplinach nauki. Dość wymienić spośród nieżyjących takich uczonych jak profesorowie: Wilczkowski, Jakubowski, Wolski, Lewenfisz, Szmurło, Muszyński, Muszkowski, Gasiorowski, Radliński, Hessen i wielu innych.

Bardzo dużo zawdzięcza Uniwersytet Łódzki pracy personelu administracyjnego. Stoją mi żywo w pamięci postacie p. p. Goździkowskiej, Tyszkiewicz, Bartoszkiewicz, Mirowskiego... O wielu z nich myślę z pewnym wzruszeniem, wspominając te dziwne, powojenne czasy, kiedy każde działanie miało charakter jakiegoś bardzo wolnościowego porywu. Bo przecież, chociaż wszystko trzeba było tworzyć na nowo, chociaż warunki życia i pracy były niezwykle denerwujące, był to okres tak wielkiego entuzjazmu, że nic nie mogło nas zniechęcić do działania. Miało się wrażenie szaleńczej podróży jakimś rozchybotanym pojazdem, w którym koła ustawia się dopiero na osie podczas jazdy. A przecież pojazd ten tak mozolnie zestawiony, zniósł szczęśliwie wszystkie przeszkody terenowe i nie tylko, że się nie rozsypał, ale coraz pewniej podąża drogami wytyczonymi ćwierć wieku temu.

Tak widzę to teraz z perspektywy lat, które minęły od powołania do istnienia Uniwersytetu Państwowego w Łodzi.

Wyciągnąłem z własnego archiwum cztery dokumenty. Pierwszy nosi datę 28 września 1950 i podpis ministra Rapackiego, adresowany jest do doc. dr Jana Szczepańskiego, zastępcy profesora i orzeka krótko: „Powierzam Obywatelowi pełnienie obowiązków Prodziekana Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Łódzkiego w Łodzi na rok akademicki 1950/51". Urzędowałem więc z prof. B. Baranowskim i mile wspominam sobie, że kiedyś zostałem obrugany przez studentów za wchodzenie do Dziekanatu poza kolejką. Drugi dokument, z 3 września 1951 r., podpisany przez wiceministra E. Krassowską, adresowany do wyżej wymienionego, już wtedy profesora nadzwyczajnego brzmi: „Powierzam Obywatelowi Profesorowi zorganizowanie i uruchomienie Wydziału Filozoficzno - Społecznego Uniwersytetu Łódzkiego, począwszy od dnia 1 września 1951 r. do odwołania". Odwołanie przyszło za rok, a zorganizowany Wydział został przeorganizowany na inny. W rok później otrzymałem następujące pismo: „Obywatel dr Jan Szczepański, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Łódzkiej (tak napisano) w Łodzi. Powierzam Obywatelowi Profesorowi z dniem 1 października 1952 roku pełnienie obowiązków rektora Uniwersytetu Łódzkiego w Łodzi. Jednocześnie przyznaję Obywatelowi Profesorowi na czas pełnienia tych czynności dodatek specjalny za kierownictwo w wysokości 650 zł miesięcznie. wz. Minister H. Golański". Dokument ten nosi datę 15 grudnia 1952 r. Tak więc w grudniu 1952 r. objąłem pełnienie czynności rektorskich, po kilkumiesięcznym okresie, kiedy po przejściu prof. J Chałasińskiego do pracy w Prezydium PAN, Uniwersytetem kierowali prof J. Litwin i prof. B. Zabłocki, prorektorzy. Wreszcie czwarty dokument (nosi datę 5 stycznia 1954 r.), podpisany przez wiceministra E. Krassowską przynosi powołanie na rektora Uniwersytetu Łódzkiego z dniem 1 stycznia 1954 r. z równoczesnym podniesieniem dodatku do wysokości 780 zł. Sprawowałem ten urząd do 1956 r., kiedy to po zmianach październikowych nie przyjąłem wyboru dokonanego przez Senat, uważając, że nowy okres wymaga nowego stylu kierowania, a zatem także i nowego rektora. Przedstawiłem więc Senatowi kandydaturę prorektora A. Szpunara, któremu po wyborze przekazałem sprawy Uniwersytetu.

Wprawdzie w r. 1952 Uniwersytet Łódzki istniał zaledwie kilka lat, ale już przeszedł wyraźne fazy rozwojowe. Pierwsze lata wielkiego napływu studentów, kiedy liczba ich przekroczyła 10.000, a wielkość wydziałów i kierunków studiów zmierzała do objęcia wszystkich możliwości

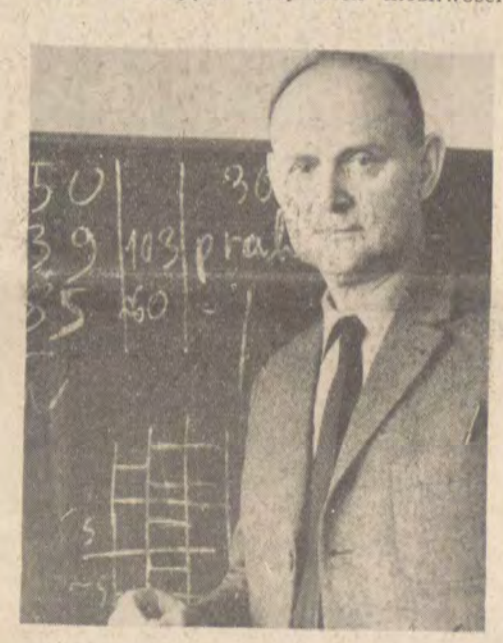

*Jan Szczepański* *Fot. A. Wach*

spotykanych w rozbudowanych uczelniach. Jednakże reorganizacja studiów i wprowadzenie studiów „zorganizowanych", wprowadzenie dyscypliny studiów i podniesienie ilości obowiązkowych zajęć, dalej odbudowa Warszawy i uczelni warszawskich, oddzielenie Akademii Medycznej, spowodowały, że na początku lat 50-tych zwinięto w naszym Uniwersytecie wiele kierunków studiów. W artykule „Na 10-lecie Uniwersytetu Łódzkiego" (Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych, T. IV. 1955) pisałem: „Rejonizacja studiów spowodowała lokowanie poszczególnych kierunków i dyscyplin w tych ośrodkach, gdzie mogły się najkorzystniej rozwijać. I wtedy ta rozbudowana struktura musiała się „zapaść", gdyż nie znalazła dostatecznego oparcia w bazie materialnej. I rzeczywiście zwinięcie na samej humanistyce 14 kierunków studiów było wyraźnym przejawem tego „kryzysu". Obejmowałem więc urząd rektorski w okresie, gdy Uniwersytet znajdował się w fazie szybkiego kurczenia. Sam fakt, że przez szereg miesięcy nie powołano nowego rektora, budził obawy i pogłoski o zamierzonym zwinięciu całego uniwersytetu.

Wspominam więc te cztery lata jako lata trudne, kiedy trzeba było powolnym wysiłkiem odbudowywać kierunki studiów, a przede wszystkim rozbudowywać bazę materialną. Pamiętam więc, że za sukces poczytywaliśmy sobie zdobycie gmachu na ulicy Buczka, gdzie pomieścił się Wydział Historii, że z przejęciem kładliśmy kamień węgielny pod gmach biblioteki (o ile pamiętam — nie podpisałem aktu erekcyjnego zamurowanego w tych fundamentach, żeby, jeżeli kiedyś jakiś historyk go odnajdzie, mógł napisać chociaż artykulik na ten temat, dlaczego rektor nie podpisał aktu), że przebudowywaliśmy strukturę studiów, że był to przecież okres stalinowskiego stylu zarządzania i kierowania życiem publicznym, który to styl sięgał bardzo głęboko w życie i funkcjonowanie uczelni.

Nie chciałbym powtarzać tego, o czym pisywałem w tych czasach, zwłaszcza we wspomnianym już tutaj artykule. Był to czas, kiedy chodziło o zbudowanie ośrodka humanistycznego w Łodzi, która, jak się nam wydawało, miała szczególnie sprzyjające warunki do rozbudowy humanistyki zorientowanej społecznie, ale Łódź miała zbyt wiele kłopotów z problemami odbudowy i modernizacji przemysłu, z gospodarką komunalną, z odbudową swoich fabryk i instytucji, stąd władze poświęcały sprawom humanistyki tylko niewiele uwagi, a jeżeli, to przede wszystkim jej aspektom ideologicznym. A jednak w tych latach trudnych takie podstawy zostały położone. I czasopisma i książki, i teatr „Pstrąg" i tysiące dyplomów magisterskich, ponad setka doktoratów i ponad 1800 dyplomów zawodowych, składały się powoli na kumulację przeobrażeń miasta. Przeglądam więc w moim archiwum i dokumenty i stosy notatek prowadzonych pośpiesznie w toku codziennych prac, o sprawach do załatwienia i załatwionych. Ile to ludzkiej troski i energii zamyka się w tym okresie, ile przeżyć, napięć, konfliktów, nadziei i zniechęcenia przezwyciężanego codziennie, ile spraw wtedy przesłaniających cały świat, a dziś zupełnie zapomnianych mieści się w tych latach trudnych, które historyk podsumuje fragmentem jednego zdania.

---

**BOGDA MADEJ**

# Kolorowe gęsi nad Pilicą

**Idzie pani właśnie po dnie zbiornika — powiedział inżynier i żeby dopomóc mojej wyobraźni, zaczął wyliczać, jaka będzie długość, jaka szerokość, ile hektarów powierzchni, jaki będzie profil brzegów i jeszcze inne różne rzeczy, których nawet nie próbowałam spamiętać, bo nogi albo ślizgały mi się po ugniecionym śniegu, albo plątały w gałęziach i korzeniach ściętych drzew. Trudno mi było wyobrazić sobie ogromny wodny zalew, bo na razie, nie licząc tej przecinki, która jest początkiem dna, po obu stronach, aż do samej Pilicy stał las. To było w Bronisławowie.**

Inżynier powiedział:

— To jest budynek administracyjny, to pomieszczenie do uzdatniania wody, a tu odcinek kanału próbnego. Wiatr wyszarpywał mu plan z ręki, a ja patrzyłam na rozpoczęte roboty budowlane i usiłowałam zapełnić pole, na którym staliśmy, budynkami wyrysowanymi na planie.

Ale najtrudniejszy moment przyszedł dopiero w domu, kiedy rozłożyłam przed sobą kartki z informacjami o inwestycji sulejowskiej. Bo okazało się, że między moją własną wizją kanału, a tym, co ma powstać jest olbrzymia różnica i że dość trudno będzie z ogromu liczb i faktów wybrać to, co z kolei czytelnikom będzie potrzebne do wyobrażenia sobie — jak ta największa z dotychczasowych łódzkich inwestycji jest ogromna.

1.

Z tego też powodu przedstawienie choćby mocno uproszczonej wizytówki wodociągu Sulejów — Łódź i zbiornika sulejowskiego będzie nastręczało nieco kłopotów. Przede wszystkim z ustaleniem ważności pewnych liczb i faktów. Można zacząć na przykład od podstawowych informacji techniczno-ekonomicznych.

**Powierzchnia zbiornika wody na Pilicy pod Sulejowem po zakończeniu wszystkich prac ma objąć 2630 ha, całkowita objętość wyniesie 109 mln. m. sześciennych, głębokość średnia — 4 m, maksymalna — 12 m, długość — 17 km, szerokość — 4 km. Najważniejsze prace, jakie trzeba wykonać przy budowie zalewu, to zapora o długości 1185 m i wysokości 16 m, nasypy o pojemności 600 tys. m. sześciennych, elektrownia w korpusie zapory, przesiedlenie 74 gospodarstw, no i samo przygotowanie czaszy zbiornika, czyli wycięcie około 1500 ha lasów, karczowanie i czyszczenie dna. To dopiero sam zalew. A przecież pozostają jeszcze prace przy budowie wodociągu, który wodę ze zbiornika będzie doprowadzał do Łodzi. Składają się nań takie elementy jak: kanał doprowadzający do czaszy zbiornika, pompownia, dwa kanały żelbetowe o długości 44 km, stacja uzdatniania i baza przeładunkowo-magazynowa.**

Taka może być pierwsza wizytówka inwestycji sulejowskiej. Druga będzie pokazywać zupełnie inne liczby, które jednak równie dobitnie świadczą o rozmachu i wielkości budowy.

**W roku 1972, który ma być okresem największego nasilenia robót, zatrudnionych będzie ogółem 1900 osób. Przewiduje się, że przy budowie samego tylko wodociągu trzeba będzie wykopać około 3 mln. m. sześciennych ziemi, zdjąć 467 tys. m. sześciennych humusu, czyli gleby urodzajnej, a 1.300.000 godzin przeznaczyć na roboty odwodnieniowe. Zużycie materiałów podstawowych, takich jak piasek i żwir wyniesie około 380 tys. m. sześciennych. Inwestycja pochłonie około 100 tys. ton cementu i 210 tys. m. sześciennych betonu. Trzeba będzie ułożyć około 150 tys. m. kwadratowych dróg tymczasowych, natomiast województwo zyska dzięki budowie wodociągu 85 tys. m. kwadratowych dróg stałych o nawierzchni uszlachetnionej. Koszt całej inwestycji wyniesie około 3,5 mld. a okres realizacji podzielono na etapy: pierwszy zakończył się w roku ubiegłym, koniec drugiego przypada na rok 1974, wreszcie zakończenie całości przewiduje się na rok 1977.**

**W obliczu takich liczb blednie własna wizja zalewu z pływającymi śmigłymi żaglówkami i kanału, którym można by z Łodzi popłynąć na Pilicę. Nie tylko dlatego, że kanał będzie kryty. I nawet nie dlatego, że Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, mimo zalecenia PRN m. Łodzi, do tej pory nie zainteresował się sprawą zagospodarowania i przysposobienia do celów wypoczynkowych brzegów zbiornika. Po prostu bardziej pasjonujący stał się zupełnie inny problem: — Jak wobec tylu różnych placów budowy, wobec takiej ilości różnorodnych prac i terminów — realizuje się to wielkie przedsięwzięcie?**

2.

**Dla laika, takiego jak ja, inwestycja sulejowska jest źródłem coraz to nowego zdziwienia. Dawno już ludzie zauważyli, że gdzie kucharek sześć, głodni od stołów odchodzą. A oto z dokumentów wynika, że wodociąg buduje dwóch podstawowych inwestorów i trzech dalszych. Podstawowi to — Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego — inwestor wodociągu i Zarząd Inwestycji Zabudowy Dorzecza Wisły Środkowej — inwestor zbiornika. W dokumentach czytam dalej: — „Roboty budowlano-montażowe prowadzone są przez około 30 wykonawców". Takie zgromadzenie wielu odpowiedzialnych za większą, lub choćby niewielką, część budowy narzuca jeden zasadniczy warunek — konieczność idealnej synchronizacji, pedantycznego dotrzymywania terminów i zobowiązań, dobrze pojętej współpracy. Że zasady tej nie przestrzegano do końca dowodzi fakt, że nie wykorzystano w pełni nakładów inwestycyjnych przeznaczonych na rok 1969. Odpowiednie dokumenty tłumaczą, dlaczego tak się stało.**

**Oto pierwsza przyczyna na liście — „Opóźniająca się wycinka lasów i zry**

Dalszy ciąg na str. 4

**Czerwony autobus MPK — Oświęcim kończy bieg przed bazą remontową PKS — szeroka droga na prawo, piętrowe ceglane bloki o charakterystycznych spadzistych dachach. To już obóz, to już Oświęcim ten z symbolu, z wyobraźni, z literatury — ten Oświęcim z tak niedalekiej historii, w którą trudno uwierzyć...**

ALE długo szukam zanim dojdę do tej sczerniałej bramy z napisem „Arbeit macht frei" — na prawo szkolne boisko (to już przecież 25 lat), na lewo pawilon Domu Książki (to już przecież 25 lat), dalej parkingi zakładów przemysłowych, na ścianie dawnej wieży strażniczej napis „Spichlerz zbożowy..." To już przecież 25 lat — nie można zrobić skansenu śmierci z całego miasta, ale przecież całe miasto porażone jest tamtą zbrodnią.

Auschwitz I — najstarszą część obozu pozostawiono ku przestrodze, pozostawiono w nie zmienionym kształcie, aby dać świadectwo przerażającej prawdzie, jaki los zgotować może człowiek człowiekowi. Auschwitz I wieńczony tą słynną bramą z okrutnym, bo skłamanym hasłem. Tu tylko śmierć dawała wolność, a praca była jedną z metod przyśpieszających śmierć...

Więc idę topolową aleją, śnieg skrzypi, jest głęboka cisza — w mróz, w styczniowy mróz któż wybiera się nad zamarzniętą Sołę, żeby spojrzeć w twarz historii i zbrodni...

Równym szeregiem czerwienią się ceglane bloki — uporna jest ta muzealna rzeczowość — „w dniu ewakuacji pozostało w magazynach 1.185.075 kompletów odzieży i 43.325 par obuwia..." Z czterech milionów pomordowanych, których nawet niemieckie statystyki nie były w stanie dokładnie zliczyć, pozostały zarejestrowane z buchalteryjną precyzją wszystkie pary butów i wszystkie komplety odzieży. Wymordowano na tym skrawku ziemi około czterech milionów ludzi lub ponad cztery miliony ludzi — ale każda para butów, każda marynarka znalazły swoją rubrykę w księgach oświęcimskich magazynów. Przerażająca mentalność narodu, który z taką nonszalancją oblicza zbrodnie i z taką precyzją rzeczy...

Blok po bloku — długie korytarze przemierzane w osłupieniu — i już nie wiem czy twarz tężeje mi od styczniowego mrozu, czy od tych tysięcy sczerniałych przedmiotów — pozostałych tu po ludziach.

Długie korytarze — stukot moich butów wśród butów piętrzących się aż pod sufit..

Niektóre sale są zaciemnione. Zgromadzono tam przedmioty, których widok w dziennym świetle byłby zbyt wielkim wstrząsem dla normalnych ludzi. Sterty ludzkich włosów, wśród których po latach poeta dostrzeże maleńkie dziewczęce warkoczyki, setki protez błyskających w mroku, set popalonych okularów, kul inwalidzkich...

I puste puszki z zakładów I. G. Farben Industrie — zatarte niewyraźne napisy „Zyklon — Tesch v. Stabenow — Hamburg Messberghof." Niewinnie wyglądające błękitne kryształki cyklonu... Blok po bloku — pędzle do golenia, szczoteczki do zębów... Ślady, ślady ludzkiej obecności — jedyne ślady obecności — ten upiorny ślad zbrodni.

Topolową aleją wśród zamarłej ciszy obozu idę pod ten blok 11 — słynny blok śmierci. Tu kończy się topolowa aleja — w twarz świeci mi słońce — tu kończy się trzema rzędami drutów Auschwitz I — żółta tablica z trupią główką, napisy „Halt — Stój". Za drutami jest szosa do Bielska — za drutami była wolność. Ale tych drutów nikt z bloku 11 nie mógł przekroczyć.

Pery Broad — esesman z oddziału politycznego w Oświęcimiu tak mówił o tym bloku w czasie procesu we Frankfurcie: „Na zewnątrz niemal nie różnił się od innych bloków. Do frontowych

JERZY WILMAŃSKI

# CMENTARZ czterech MILIONÓW

*Oświęcim* *Fot. A. Kaczkowski*

drzwi prowadziło kilka kamiennych stopni. W odróżnieniu jednak od innych bloków obozowych drzwi jedenastki były stale zamknięte (...) Szeroki korytarz przedzielony mocną kratą z okratowanymi drzwiami przecinają krótkie równoległe do siebie korytarzyki. Przy takim korytarzyku mieści się 3 do 5 sal, których grube, dębowe drzwi obite są stalą i zaopatrzone w judasze. Powietrze w piwnicy jest tak stęchłe, że ledwo można oddychać. (...) Kandydaci na śmierć prowadzeni są do umywalni na parterze. Więźniowie zatrudnieni w bloku 11 jako czyściciele i pisarze zasłaniają okno kocem i każą rozebrać się nieszczęsnym towarzyszom niedoli. Malują im kopiowym ołówkiem na piersiach wielkie liczby oznaczające ich numery, by ułatwić potem rejestrację zwłok w trupiarni lub w krematorium. (...) Rozstrzeliwuje Rapportfuehrer lub dozorca aresztu. By nie zwracać uwagi przechodniów na szosie, używają małokalibrowego karabinku z magazynem na 10 lub 15 strzałów. (...) Gdy zastrzelony rzęzi, jeden z dwu fuehrerów SS (Aumeier i Grabner) rozkazuje: „Ten musi dostać jeszcze raz". Strzał w skroń lub oko kończy ostatecznie nieszczęsne życie. Nosiciele zwłok pędzą tam i z powrotem, ładują trupy na nosze i zrzucają je na kupę w drugim końcu podwórza. Leży tam coraz więcej okrwawionych ciał..."

JEST cisza — słońce świeci mi w twarz — za potrójną linią drutów i betonowym murem pędzą samochody. Na żółtej tablicy napisy „Halt — Stój" — odwracam się powoli — topolowa aleja jest pusta, śnieg skrzy się oślepiająco w styczniowym słońcu... Odchodzę powoli z twarzą stężałą od mrozu... Mogę odejść. Dla mnie dziś po dwudziestu pięciu latach odejście od kresu tej alei jest możliwe i naturalne.

Los sprawił, że przyjechałem tu sam w ćwierć wieku po tamtym styczniu... Ale jaki był tamten styczeń?

W dniu, kiedy pancerne zagony Armii Czerwonej wyzwalały moje miasto, w dalekim Oświęcimiu esesmani podpalali baraki z mieniem zrabowanym więźniom. Ostatnia próba zatarcia śladów — niepotrzebna już, bo świat znał grozę i zbrodnie KL Auschwitz. Dwudziestego pierwszego stycznia 1945 roku esesmanów w obozie już nie było. Wśród więźniów nastąpiło odprężenie — w tym dniu udało się więźniom Brzezinki nawiązać kontakt z więźniami obozu macierzystego w Oświęcimiu. Część zapasów żywności przeniesiono do Brzezinki — uruchomiono kuchnię. Trwało poszukiwanie żywności w barakach.

Ale to jeszcze nie była wolność. Wokół obozu znajdowały się duże zgrupowania Wehrmachtu — 22 stycznia rozstrzelano 6 jeńców radzieckich — to już była ostatnia egzekucja.

Dwudziestego trzeciego i dwudziestego czwartego stycznia oczekiwano w niepokoju dalszych wydarzeń. Dwudziestego piątego stycznia do Oświęcimia i Brzezinki wpadły oddziały SD i Gestapo. Polecono pozostałym jeszcze więźniom przygotować się do transportu. Za późno! Po wyprowadzeniu więźniów z Brzezinki eskorta niespodziewanie oddaliła się od kolumny — zbliżali się już Rosjanie. Z obozu Auschwitz I nawet nie zdążono wyprowadzić kolumny — gestapowcy szybko odjechali.

Dwudziestego siódmego stycznia 1945 roku o godzinie 15 więźniowie powitali małe grupki zwiadowców radzieckich. Za nimi weszły pierwsze oddziały Armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Koniewa. Krótko potem przybyły do obozu dwa dywizyjne szpitale polowe. Komendantami ich byli lekarz major Wejtkow i lekarz major Mielaj.

Wyzwolenia w ten styczniowy dzień 1945 roku doczekało w Oświęcimiu i Brzezince około 5 tysięcy więźniów. Zaledwie 5 tysięcy! Zanim nastąpiło wyzwolenie, zanim przyszła wolność hitlerowcy rozpoczęli masową ewakuację więźniów do innych obozów. Najpierw — do grudnia 1944 roku — pociągami, potem, gdy linie kolejowe zostały całkowicie oddane do użytku wycofującego się Wehrmachtu — pędzono więźniów transportami pieszymi. Pędzono ich bocznymi drogami, w styczniowy mróz, głodnych, wycieńczonych, w przededniu wolności skazanych na śmierć od kuli, mrozu i głodu.

To było ćwierć wieku temu. Dziś podobnie skrzypi śnieg — też jest mroźny styczeń i świeci jaskrawe słońce. Dziś tamto jest już historią i upiorny Auschwitz, trupiarnia i cmentarz 28 narodów, pomnik zbrodni jednego narodu jest muzeum pamięci, jest wstrząsającym memento.

Nad płaskim polem Birkenau bieli się kanciasty zwarty monument pomnika, przypominający krematoryjny komin.

## KĄCIK z książkami

**PORTRET ADAMA POLEWKI**

Nazwisko i postać Adama Polewki — komunisty, pisarza, działacza politycznego — znane są daleko poza granicami Krakowa, gdzie przecież urodził się i działał całe swoje życie. Bo też format tej postaci był o wiele większy niż by można zmieścić w murach wawelskiego grodu. Nie napisał wiele. Właściwie pozostały po nim książki, które dla innego pisarza byłyby marginesem działalności. Pozostał szkic powieści, parę opowiadań, tom felietonów i — najbardziej znane, przypominane co rok na Dni Krakowa — „Igrce w Barbakanie".

A jednak Adam Polewka to postać w ruchu literackim minionego ćwierćwiecza — znacząca. Dlaczego tak jest, gdzie tkwi tajemnica tego fenomenu? Na to pytanie próbuje dać odpowiedź w swej książce Juliusz Kydryński. Że jest to próba odpowiedzi sugeruje nawet tytuł. Powiedzieć jednak trzeba, że to próba udana.

Z książki Kydryńskiego wyłania się żywy człowiek, pełen pasji, bezkompromisowy komunista — autentyczny działacz polityczny i społeczny — animator ruchu literackiego powojennego Krakowa. Prof. Kazimierz Wyka tak napisał w pośmiertnym wspomnieniu o Adamie Polewce: „Ludzie z pokolenia Polewki porobili w Polsce Ludowej duże kariery osobiste i po zwycięskiej rewolucji było to naturalne. Chociaż tyle funkcji widniało w jego klepsydrach, żadna nie oznaczała dostojnika, każda konkretną robotę. Nic bardziej go nie drażniło, zwłaszcza w latach ostatnich, jak porośnięci w piórka władzy, urzędu, tym sposobem oderwani od człowieka i jego doli".

Wzruszająca, ciepła opowieść o człowieku mądrym, żarliwym i skromnym jest opowieścią krzepiącą.

Juliusz Kydryński „Próba portretu" — rzecz o Adamie Polewce". Wyd. Literackie 1969.

# Kolorowe gęsi nad Pilicą

Dalszy ciąg ze str. 3

wka drewna powodowały hamowanie robót ziemnych przy budowie doprowadzalnika". Za tym suchym stwierdzeniem kryje się jednak dłuższa historia sporu między inwestorem, a Okręgowym Zarządem Lasów Państwowych w Łodzi i Radomiu. Mimo wielokrotnych interwencji w OZLP w Łodzi i Nadleśnictwie Nagórzyce, mimo zapewnień, że wszystkie siły Nadleśnictwa zostaną skierowane do wyrębu lasów na terenie przyszłego kanału doprowadzającego, leśnictwo nie dotrzymało kolejnych terminów. Adiunkt z Nadleśnictwa Nagórzyce oświadczył bowiem, że nie są oni zainteresowani wyrębem z powodu wykonania rocznego zadania w tym zakresie. A tymczasem zgodnie z ustalonymi terminami wykonawca, czyli „Hydrobudowa-11" sprowadził w październiku większą ilość sprzętu, którego nie można było w takich warunkach wykorzystać.

Na tym jednak nie kończą się leśne kłopoty inwestorów i wykonawców. Do tej pory resort leśnictwa nie rozwiązał jeszcze problemu wykorzystania karpiny i cienizny, czyli korzeni i pniaków ściętych drzew. Będzie tego sporo zważywszy, że wyrąb lasów obejmie tyle drzew, ile normalnie rośnie w trzech leśnictwach. Laik znów może się tylko zdziwić. Czyżby leśni specjaliści dopiero w chwili rozpoczęcia wyrębu dowiedzieli się, że oprócz pni będzie także karpina? Czyżby nikt w Polsce nie chciał wykorzystać jej do produkcji żywicy i terpentyny, lub choćby tylko na opał?

Drugą pozycją na liście przyczyn opóźniania robót przewidzianych na rok 1969 jest „brak odpowiedniej aparatury i sprzętu do budowy linii elektrycznych, doprowadzających energię do placów budów". To znowu sucha relacja dokumentu, za którą kryje się główny bohater — katowicka „Elektrobudowa". Mieli pierwsi przystąpić do pracy. Wiadomo przecież, że bez elektryczności nie można niczego zacząć. „Elektrobudowa" odmówiła. Dlaczego? Bo dyrekcja oddelegowała swoich pracowników do wykonywania innych ważnych inwestycji państwowych, bo „Elektrobudowa" jest przede wszystkim od stawiania elektrowni, a prace przy budowie wodociągu sulejowskiego są zbyt drobne dla poważnego przedsiębiorstwa. Można się domyślać, że te drobne prace są dla katowickiej firmy zbyt mało opłacalne, ale i tak zdziwienie laika będzie w tym miejscu ogromne. Jak to jest możliwe, skoro inwestor jest instytucją państwową, skoro „Elektrobudowa" jest także instytucją państwową, a przedmiotem przetargu jest wodociąg sulejowski, inwestycja o ogromnym znaczeniu przede wszystkim dla Łodzi, ale przez to samo także i dla gospodarki krajowej? Całe szczęście, że z pomocą przyszło Łódzkie Przedsiębiorstwo Elektryfikacji Rolnictwa z Konstantynowa, które poza normalnym planem podłączyło do sieci elektrycznej niektóre place budowy. No, ale gdyby nie było „pod bokiem" konstantynowskiego przedsiębiorstwa, to co wtedy?

Zdziwienie mogą budzić także następne powody zwalniające tempo robót. Oto wywłaszczeni chłopi z Kalinka odwołali się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, co spowodowało opóźnienie wejścia wykonawcy na budowę. Gdyby jednak sprawę wywłaszczenia chłopów zaczęto załatwiać odpowiednio wcześniej, prawdopodobnie opóźnienia by nie było. Wszak inwestycja sulejowska nie była planowana z dnia na dzień.

Nie rozpoczęto zaplanowanych robót na Chojnach. W tym wypadku odpowiedzialność spada na generalnego wykonawcę — „Hydrobudową-11", która zobowiązała się załatwić wszystkie sprawy z podwykonawcami do końca września ub. roku. Ponieważ „Hydrobudowa" nie podpisała w terminie umów, podwykonawca — ŁPBP nr 1 oświadczył, że w bieżącym roku do robót nie przystąpi.

Można by jeszcze dalej wyliczać trudności i kłopoty, jakie wyniknęły podczas realizacji prac przygotowawczych nad budową wodociągu Sulejów — Łódź, na szczęście jednak lista tego, co już zrobiono, jest dużo większa. Nie mogę sobie jednak odmówić przytoczenia jeszcze jednego, zdziwienie wywołującego, faktu. Dwaj inwestorzy budują w dwu miejscowościach domy dla pracowników, którzy w przyszłości będą musieli tam zamieszkać. W Bronisławowie są to domy z prawdziwego zdarzenia, w Smardzewicach coś pośredniego między kurnikiem a komórką. Na moje pytanie — skąd i dlaczego te różnice? — usłyszałam dość zaskakującą odpowiedź. — W Bronisławowie inwestor buduje dla własnych pracowników. W Smardzewicach inwestor nie jest pewien, czy jego pracownicy będą przyszłymi użytkownikami domów.

*Harcerze witają J. Iwaszkiewicza na Plenum ZG ZLP w Łodzi*

*Fot. A. Wach*

# Laboro ergo sum

**Dalszy ciąg ze str. 1**

mu, jaki w jej przygotowanie włożyli gospodarze (Rada Narodowa, Zw. Zaw. Włókniarzy i pisarze Łodzi), z drugiej zaś szczęśliwemu doborowi referenta. Jan Koprowski w swoim wystąpieniu, które nakreśliło ramy późniejszej bogatej dyskusji, przedstawił bowiem przeobrażenia jakie przechodził motyw pracy i bohater proletariacki w polskiej prozie powieściowej. Głos ten, pełen troski i niepokoju o stan literatury współczesnej, która nie zdołała sobie przyswoić problematyki pracy, wolny był od uproszczeń i demagogicznych akcentów, jakie, niestety, zbyt często, spotkać możemy w wypowiedziach krytyki, która w znacznym stopniu przyczyniła się do powstania sytuacji, jaką dziś obserwujemy w literaturze. Podkreślając stopień trudności i odpowiedzialności związanej z podjęciem przez pisarza problematyki pracy, oraz ryzyko artystyczne, jakie się z tym wiąże, Koprowski nie ograniczył się do ogólnikowych apeli. Zaproponował bowiem takie poszukiwania modelowe, które potrafiłyby połączyć opis ludzkiego wysiłku z jego osobistym przeżyciem, a jak się wydaje tego rodzaju podejście jest dla literatury dostępne i zawiera najmniejsze ryzyko porażki. Koprowski przestrzegł zresztą przed upraszczaniem zagadnienia. Książka o pracy nie musi być tylko i wyłącznie powieścią o środowisku produkcyjnym zamkniętym w murach fabryki czy huty. Był to grzech okresu schematyzmu, w którym motyw pracy został zwulgaryzowany, a co gorsza zdepersonalizowany i odhumanizowany. Zresztą dzisiejszy brak książek wybitnych poświęconych motywowi pracy jest pochodną tamtego okresu. Nikłość artystycznych dokonań w tej dziedzinie przy równoczesnej mnogości podejmowanych bez powodzenia prób powieściowych, mógł przecież wywołać wrażenie, że motyw pracy zdewaluował się, że literatura nie ma dość precyzyjnych narzędzi, aby wyrazić gorycze i radości człowieka w procesie pracy. Tymczasem skompromitował się nie tyle motyw pracy, ile pewne sposoby przedstawiania człowieka pracy przez literaturę. Zresztą w odniesieniu do powieści o tematyce wiejskiej, wyjąwszy te próby agitacyjne, które spełniały rolę ulotek nawołujących do kolektywizacji, zarzutu pomijania motywu pracy postawić nie można, chociaż i tu brak arcydzieł.

Skąd więc biorą się te wszystkie kłopoty i braki zważywszy, że problematyka pracy jest centralnym tematem współczesności? I czy samo akcentowanie zamówienia społecznego na współczesną powieść o ludziach pracy wyprowadzi naszą literaturę z labiryntu poronnych prób podejmowanych przecież nieustannie przez całe ćwierćwiecze?

Na pytania te próbowano znaleźć odpowiedź w barwnej, ożywionej, a jednocześnie prowadzonej z powagą dyskusji, do której istotny wkład wnieśli pisarze Łodzi. Obok Jana Koprowskiego zabrali przecież głos: Władysław Rymkiewicz, Tadeusz Papier, Tadeusz Chróścielewski, Wiesław Jażdżyński oraz piszący te słowa. Aktywnie zaprezentowało się na sesji środowisko pisarzy Śląska głosem Wilhelma Szewczyka, Jerzego Wawrzaka i Marii Klimas-Błahutowej. Okazale wypadło także środowisko pisarzy Warszawy. Na łódzkiej sesji wystąpił nie tylko Jarosław Iwaszkiewicz, ale także Janina Dziarnowska, Danuta Bieńkowska, Władysław Żesławski, Edmund Niziurski, Zygmunt Stoberski. Środowisko wrocławskie reprezentował głos Henryka Worcella.

Nie zamierzam tutaj streszczać, ani też przytaczać poszczególnych głosów w dyskusji ze względu na ich mnogość, a także dlatego, że w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów" opublikujemy obszerne fragmenty stenogramu dyskusji. Da to zapewne czytelnikowi więcej niż mozolne szkicowanie przebiegu obrad. Toteż w tej partii mego artykułu spróbuję raczej podnieść refleksje ogólniejszej natury, jakie nasuwają się w związku z problematyką pracy dyskutowaną tak szeroko na łódzkiej sesji.

Wiemy już, że bohater proletariacki w zbyt nikłym stopniu uwzględniony został przez współczesną powieść polską. Za tę sytuację, jak mi się wydaje, w nieznacznym tylko stopniu odpowiedzialni są sami pisarze. Środowisko literackie na przestrzeni całego ćwierćwiecza wykazało zresztą maksimum dobrej woli, rzecz jednak w tym, że z samych chęci nie narodzą się dobre książki. Literatura polska znalazła się w dzisiejszej, kryzysowej sytuacji między innymi dlatego, że zbyt szybko chciała odpowiedzieć na zamówienie społeczne, a także dlatego, że zbyt pospiesznie odcięła się od tych tradycji polskiej prozy okresu międzywojennego, które motywu pracy nie pomijały. W okresie schematyzmu zarówno literatura jak i krytyka uległy niewybaczalnemu złudzeniu, że z chwilą zmiany warunków społecznych, natychmiast, w jednej chwili przeobraził się także człowiek. Tego nowego człowieka, proletariackiego bohatera, zaczęto też mozolnie konstruować z hipotetycznych przesłanek wpędzając go w równie fikcyjny świat powieściowy, w którym nie ma nic poza wyścigiem pracy i normami produkcyjnymi. Nawet normy moralne poddane zostały w tych książkach wymaganiom technologicznym. Nie byłoby to nawet takie groźne, gdyby model ten nie zdobył sobie monopolu, gdyby obok tych fikcyjnych książek mówiących o tym, jakim będzie człowiek przyszłości, czy też raczej, jakim chcieli widzieć go organizatorzy produkcji, istniały jednocześnie książki mówiące o tym, jaki jest człowiek naprawdę, jak się kształtuje w procesie pracy i poza nią.

Jednowymiarowość widzenia problematyki pracy przez literaturę i krytykę, a równocześnie przyjęcie zasady, że tylko takie widzenie służy socjalizmowi, wyeliminowały motyw pracy z wielu książek, których autorzy wzdragali się przed uproszczeniem zagadnienia. Pojawiła się więc cała seria książek zupełnie wyjałowionych, wolnych od „niebezpiecznego" motywu i ten z kolei model utrwalił się w ostatnich zwłaszcza latach. Zarówno jedna jak i druga tendencja przyniosły literaturze poważne straty, oddaliły ją od służby społecznej, zawiesiły w pewnej izolacji od spraw, którymi żyje cały naród. Stąd też powstała potrzeba przedyskutowania tego problemu na nowo, włączenia go do katalogu tematów podejmowanych przez powieść.

Jest rzeczą paradoksalną, że dziś najwięcej mówią o współczesności te książki, które oparły się zarówno pierwszej jak i drugiej modzie, te książki, które powstały niejako wbrew obowiązującym prądom, wbrew sugestiom krytyki. Te, mówiąc inaczej, dzieła, które ukazują człowieka żyjącego pełnią życia.

Motyw pracy nie zdewaluował się więc, został tylko oderwany od żywego człowieka, przeciwstawiony mu. Myślę, że teraz, po łódzkiej sesji, zostanie on na powrót skojarzony z człowiekiem, chociaż rzecz jasna będziemy musieli nieco poczekać, bo książki nie powstają ani na sesjach, ani z samego tylko gadania. Sesja łódzka postawiła jednak problem, obok którego literatura polska nie powinna przejść obojętnie. W naszych trudnych, a jednocześnie tak ciekawych czasach, kiedy człowiek przełamuje bariery możliwości wyznaczonych mu przez naturę, kiedy rozum ludzki rozwiązuje problemy, o jakich nie śniło się ludziom jeszcze kilkadziesiąt lat temu, przy pomina się natychmiast stara kartezjańska zasada: Cogito, ergo sum. Z poprawką może na czasy współczesne, w których proletariat stał się główną siłą napędową ludzkości. Może zatem: Pracuję, więc jestem.

**KONRAD FREJDLICH**

## Polka z książkami

### PARADOKSY NATURY

Thomas R. Henry należy do popularyzatorów o światowej sławie — za swoje publikacje zdobył w swoim czasie najwyższe dziennikarskie trofeum Ameryki — nagrodę Pulitzera. Niedawno „Wiedza Powszechna" udostępniła polskiemu czytelnikowi pasjonującą opowieść tego autora o osobliwościach i paradoksach znajdowanych w świecie zwierząt i roślin. Jest to imponujący zbiór ciekawostek — ale także przejaw niezmiernego bogactwa natury — bogactwa, które każe się nam nad otaczającym nas światem głęboko zamyślić. Dobrze też, że polskiemu czytelnikowi zaprezentowano właśnie tę książkę. Zaskakujące zjawiska biologiczne stanowiły przecież szczególną pasję autora, który przez 30 lat był reporterem i wydawcą publikacji o tematyce przyrodniczej.

W „Paradoksach natury" zgromadzono kilkadziesiąt spostrzeżeń, zjawisk, przykładów i historyjek od zawrotnej kariery pomidora — po relację o tym, jak ostrygi zmieniają płeć. Henry pisze w przedmowie, że dotychczas poznano 800 tysięcy gatunków owadów, 30 tys. gatunków ptaków, 40 tys. gatunków ryb, a ilość nowo poznanych przez człowieka gatunków roślin przyrasta w tempie... miliona egzemplarzy rocznie! W tym niemal astronomicznym świecie autor bez trudu znajduje problemy i zjawiska warte opowiedzenia czytelnikowi, który z przyrodą ma kontakt wyłącznie dzięki niedzielnym wycieczkom za miasto. Thomas R. Henry jest jednak wytrawnym i doświadczonym popularyzatorem — potrafi więc swymi opowieściami zainteresować i zadziwić.

---

**Thomas R. Henry „Paradoksy natury". Wyd. „Wiedza Powszechna" 1969. Tłumaczył Jerzy Chmurzyński.**

---

**3.**

**Zanim w roku 1974 woda popłynie nowym kanałem do Łodzi, miasta Sulejów i Piotrków, a także Zakłady Przemysłu Rolnego w Niechcicach, Wolskie Zakłady Przemysłu Barwników w Woli Krzysztoporskiej i Koniecpolskie Zakłady Płyt Pilśniowych muszą zbudować u siebie oczyszczalnię ścieków. Na razie „mogą" jeszcze zanieczyszczać wodę w Pilicy, każdy zakład na swój sposób i według własnych możliwości. Tak w Niechcicach ścieki Zakładów Przemysłu Rolnego wielokrotnie przekraczają normy dopuszczalne. Ścieki z zakładów w Koniecpolu nie tylko wielokrotnie przewyższają normy, ale powodują także wtórne zanieczyszczenia wody poprzez bardzo intensywny rozwój grzyba ściekowego. Najbardziej jednak malowniczym przykładem jakości stężenia ścieków mogą się pochwalić Wolskie Zakłady Przemysłu Barwników. Gęsi z tamtejszych okolic raz są żółte, raz jaskrawo czerwone, innym razem pióra mają kolor pomarańczy.**

**Obliczono już koszty budowy każdej oczyszczalni, dla każdej ustalono termin zakończenia, wiadomo też, że na przykład w Koniecpolu generalnym wykonawcą będzie krakowska „Hydrobudowa-2". No, dobrze, ale co będzie, jeśli któryś z zakładów, bądź co bądź nie zainteresowany bliżej sulejowsko-łódzkim wodociągiem, nie wybuduje oczyszczalni w terminie? Kto może je zmusić do realizacji robót zgodnie z planami? Zaglądam znów do dokumentów.**

**Uchwałą PRN m. Łodzi z 24 czerwca 1968 roku na stanowisko Pełnomocnika do Spraw Koordynacji Inwestycji Sulejowskiej został powołany dyrektor Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej w Łodzi. Wprawdzie urzędowy tytuł wyjaśnia wiele, ale dla uniknięcia nieporozumień uściślijmy — do zadań pełnomocnika „należy w szczególności koordynacja przygotowania i przebiegu wykonania zadań zapewniających dostawę wody ze zbiornika koło Sulejowa do miasta Łodzi". Czyli mówiąc prościej pełnomocnik ma sobie poradzić z tymi wszystkimi, których tu wyliczyłam, i z tymi, których z braku miejsca wyliczyć nie mogłam. Ma wprawdzie i korzysta z wszechstronnej pomocy KŁ PZPR i PRN m. Łodzi, ale ucieka się do niej w wypadkach szczególnie uzasadnionych. Chciałam zapytać inż. Krassowskiego, jak godzi obowiązki dyrektora i pełnomocnika, ale pytanie wydało mi się niedyskretne. Zapytałam więc, jakimi sankcjami dysponuje wobec opornych wykonawców.**

**— Żadnymi — odpowiedział.**

**— Jak pan wobec tego sobie radzi?**

**— Wielu z nich po prostu znam.**

**4.**

**Myślę, że pora wreszcie wyjaśnić, dlaczego inwestycja sulejowska jest tak ważna i jakie ma znaczenie dla Łodzi. To tylko cudzoziemcy widząc, jak dozorcy beztrosko polewają ulice strumieniami wody sądzą, że jesteśmy w wodę bogaci. W rzeczywistości wiadomo, iż owe „tryszczące liczne źródła", które tak zafrapowały Staszica i Rembielińskiego, że postanowili zrobić z Łodzi polski Manchester, dawno przestały tryszczeć. Odwrotnie. Od szeregu lat rośnie w Łodzi wodny deficyt i źródła wody, jakimi aktualnie dysponuje miasto, nie dostarczają jej tyle, ile potrzebują ludność i przemysł. Stosowane od lat oszczędności wody, limitowanie jej dla przemysłu, ograniczanie przyłączeń do sieci starego budownictwa, wtórne wykorzystanie i obiegi zamknięte łagodzą nieco ten deficyt, ale nie mogą mu zapobiec. Dlatego zdecydowano się na doprowadzenie wody z Pilicy. Wodociąg sulejowski, którego zdolność produkcyjna w roku 1977 będzie dwa razy większa od obecnego ujęcia pod Tomaszowem, rozwiąże wodne kłopoty Łodzi co najmniej do roku 2000. To jedno z największych ujęć w Polsce dostarczać będzie wodę, przy oczyszczaniu której woniejący chlor zastąpi się ozonem.**

**Pierwsze litry wody mają dopłynąć do Łodzi w roku 1974. Dotrzymanie tego terminu ma ogromne znaczenie, bowiem na ten rok przewiduje się zakończenie pewnego etapu modernizacji i rekonstrukcji łódzkiego przemysłu lekkiego. Od tego, czy będzie woda, zależy — jak to pompatycznie niektórzy stwierdzają — życie albo śmierć miasta. W tej sytuacji konieczne jest, aby wszyscy wykonawcy, zrozumieli, jak ważna jest inwestycja sulejowska i jaka spoczywa na nich odpowiedzialność. Zalecenia KC PZPR — „usprawnienie procesów inwestycyjnych, a w szczególności koncentracja robót budowlano-montażowych i uzyskanie wydatnego skrócenia cyklu inwestycyjnego aż do pełnego uruchomienia danego obiektu włącznie" — wyklucza zdecydowanie taką postawę, jaką zdążyli już zaprezentować niektórzy wykonawcy budowy wodociągu.**

**Jeśli pewnego dnia roku 1974 przestanie z kranów lecieć woda, pójdę do pracy z brudną szyją. Pewną pociechą**

**będzie fakt, że oprócz mnie także reszta łodzian będzie miała nie umyte szyje. Ale co się wtedy stanie z łódzkim przemysłem?**

**BOGDA MADEJ**

IGOR SIKIRYCKI

# Siedmiu NIEOBECNYCH

Widocznie zbyt długo milczałem, bo Bieniek zgasił szybko nie wypalonego papierosa i położył mi dłoń na ramieniu.

— Co z tobą, stary? Źle się poczułeś?

— Ale nie, skądże znowu. Po prostu zamyśliłem się.

— O tym Adamiaku?

— Tak, o nim... Pytałeś mnie wprawdzie o moje wojenne sprawy, tak się właśnie złożyło, że mój los, że moje życie znalazło się w jego rękach.

— Adamiaka? Nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz... Było to w końcu grudnia, w czterdziestym trzecim. Mróz potworny.... nie wiem, czy pamiętasz.

— O, dobrze pamiętam — wtrącił Bieniek. — W grudniu wywieźli mnie do Oświęcimia. Ale mów dalej, mów.

— No więc było to w grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem... dziewiętnastego albo dwudziestego. W każdym bądź razie w dniu imienin Dariusza. Pamiętam dobrze, bo nasz dowódca, podchorąży Gałązka, miał na imię Dariusz i chociaż przybrał sobie groźny pseudonim, Żbik, często nazywaliśmy go Darkiem, co oczywiście doprowadzało go do białej gorączki. Ale w gruncie rzeczy był to chłopak dobry, tylko cholernie narwany.

— A ja dałbym głowę, że byłeś w oddziale Szarugi, razem z Kaliberdą — przerwał mi Bieniek.

— Oczywiście, że u Szarugi, tylko pamiętaj o tym, że Szaruga miał już wtedy w oddziale prawie osiemdziesięciu chłopaków. Siedzieć zimą w jednym miejscu z taką paczką, to trudna sprawa. Sam rozumiesz. Trzeba było to całe bractwo nakarmić i mądrze rozkwaterować. Już w listopadzie Szaruga podzielił nas na trzy pododdziały. Sam z trzydziestką chłopaków został w leśniczówce nad Tanwią, jeden pododdział ulokował w Skwarkach, a drugi, pod dowództwem Żbika, właśnie ten, w którym znalazłem się razem z Kaliberdą, umieścił w jeszcze mniejszej wiosce, Oseredek. Dzieliła nas od siebie odległość zaledwie kilkunastu kilometrów, toteż Szaruga mógł w każdej chwili zebrać wszystkich do kupy i przerzucić na nowe miejsce.

Do grudnia było zupełnie spokojnie i już nawet zaczęliśmy się trochę nudzić, a razem z podchorążym Darkiem, czyli Żbikiem, było nas osiemnastu. Nie wiedzieliśmy jeszcze czy Boże Narodzenie spędzimy w Oseredku, czy też Szaruga ściągnie nas wszystkich bliżej leśniczówki, ale w każdym bądź razie czuliśmy się bezpiecznie i nawet trochę świątecznie. Gdzieś około dziesiątego zaczął padać śnieg i sypał chyba przez tydzień. Wiało tak, że przez cały czas nie wylaziliśmy z chałup. Którejś nocy Żbik poderwał nas wszystkich na nogi, ale alarm okazał się niepotrzebny. Po prostu wartownik przyłapał dziada wędrującego po prośbie od wioski do wioski i o mały włos go nie kropnął. Jak się później okazało, szkoda, że tego nie zrobił. Ale nie wyprzedzajmy faktów. Na drugi dzień dziad polazł dalej, śnieg przestał padać, chwycił siarczysty mróz i już z samego rana, akurat na imieniny Darka, zjawił się łącznik od Szarugi z jakimś rozkazem. Z początku, kiedy Żbik przygotowywał nas do pośpiesznego wymarszu, pomyślałem, że Szaruga przerzuca nas w nowe miejsce, ale okazało się, że idziemy na akcję. Zostawiliśmy więc w chałupach torby, plecaki i nawet osobiste drobiazgi. Wychodząc domyśliliśmy się od razu, że czeka nas porządny marsz, bo Żbik kazał zabrać wałówkę na cały dzień, ale nawet nam się nie śniło, że pogoni nas przeszło dwadzieścia kilometrów. Dwadzieścia kilometrów to niby nic, ale wiesz, że po drodze zawianej świeżym śniegiem idzie się ciężko. Wreszcie doszliśmy do celu.

Był to niewielki mostek kolejowy na strumieniu koło Suśca. Chyba nie dalej niż siedem kilometrów od stacji. Zadanie nie było trudne. Mieliśmy wysadzić ten mostek i nie czekając na żaden pociąg, jak najszybciej wrócić do wioski okrężną drogą. Żbik, jako solenizant, miał przyjemność osobiście odwalić tę robotę i już wkrótce po mostku nie zostało śladu. Przerwane szyny wygięły się na bok jak wąsy ogromnego suma. Strumień był dosyć wartki i mimo mrozu płynął jeszcze wolny od lodu. Po wybuchu stałem chwilę wpatrując się w czysty nurt i nagle na jego powierzchni dostrzegłem srebrną ławicę. Setki drobnych rybek ogłuszonych wybuchem spływały podobne do kryształków lodu.

Żbik przywołał mnie do porządku:

— Hej, Panienka, najeżdżaj, bo cię zostawimy.

Ten pseudonim, który mnie doprowadzał do rozpaczy zawdzięczałem samemu Szarudze. Kiedyś, kiedy Kaliberda przyprowadził mnie do niego, porucznik spytał: „Ma on jakieś pseudo?" — Nie mam — odpowiedziałem mu za Kaliberdę. „No to wymyśl coś pięknego, tylko szybko, ale uprzedzam, nie Ryś, nie Żbik, nie Grom, nie Burza, bo tego, to już mamy na pęczki".

Stałem w milczeniu i nic nie mogłem wymyślić. Ze wstydu krew mi uderzyła do twarzy. Szaruga spostrzegł to i wyraźnie ubawiony zawołał: „Widzicie go, jeszcze się rumieni jak panienka".

To wystarczyło. Od razu Żbik, ten Darek, podchwycił: „Panienka! A to dobre!" No i tak już zostało.

A potem rozpoczęliśmy odwrót. Prawie pięć kilometrów przeszliśmy w ostrym tempie i dopiero około drugiej Żbik dał nam odsapnąć. Przysiedliśmy na porębie, na okorowanym pniu potężnej sosny, którą pewnie jesienna wichura wyrwała razem z korzeniami. Na tych korzeniach zawiesiliśmy automaty jak zabawki na choince i zabraliśmy się do jedzenia. Boczek, choć trzymany głęboko w kieszeniach, podmarzł zdrowo i szczypał w zęby, zupełnie jakbyśmy gryźli kawałki lodu. Chociaż picie wódki podczas akcji było zakazane z całą surowością, wypiliśmy z płaskiej manierki Kaliberdy po łyku bimbru za zdrowie podchorążego Darka.

Odsapnęliśmy i dalej w drogę. Około czwartej zrobiło się całkiem ciemno i mróz zaczął narastać niemal namacalnie. Na ubitej drodze śnieg skrzeczał pod butami jakbyśmy deptali żaby. Miałem na głowie taką głupią czapkę obszytą futrem z królika, ale tak, że nie można jej było opuścić na uszy. Rozcierałem więc te swoje uszy raz prawą, raz lewą ręką, ale niewiele to pomagało, bo dłonie, którymi na zmianę przytrzymywałem automat zawieszony na szyi, również grabiały pod cienką powłoką wytartych rękawic.

W pewnej chwili Kaliberda, nie zatrzymując się, ściągnął swoje nauszniki z szarej włóczki, które zrobiła mu siostra i podał mi je bez słowa, sam zaś szybko naciągnął futro swojej czapki, zrobionej po ludzku. Włożyłem te nauszniki i od razu zrobiło mi się lżej na sercu, tak jakoś przyjemnie, jakby ta siostra Kaliberdy trzymała w ciepłych dłoniach moje biedne odstające uszy.

Kiedy podchodziliśmy do wioski było zupełnie ciemno. Szliśmy bez ubezpieczenia całą gromadą, a właściwie jeden za drugim, gęsiego, w milczeniu. Nie dla ostrożności, po prostu ze zmęczenia.

Byliśmy już między pierwszymi opłotkami. Z prawej strony, w odległości kilkunastu kroków, kończyła się czarna ściana wysokopiennego lasu. Wtedy właśnie odniosłem wrażenie, że słyszę jakiś daleki, przytłumiony krzyk. Niemal jednocześnie zdałem sobie sprawę z tego, że coś jest nie w porządku, że nasze wejście do wioski odbywa się jakoś inaczej. Myślałem nie dłużej niż ułamek sekundy. I nagle odgadłem — psy. Co się stało z psami? Przecież zawsze witały nas głośnym ujadaniem. Nie pomagały na wet przekupstwa w postaci smakowitych kąsków. W poszczególnych chałupach, tam gdzie mieliśmy swoje kwatery, psy tolerowały naszą obecność, ale nigdy nie znosiły zbiorowego przemarszu. A teraz martwa cisza. Nie, już nie cisza. Bo oto rozlega się huk rakietnic. Świetlne pociski ze świstem dziurawią niebo, a potem, jak ogromne kryształowe żyrandole zawieszone nad widownią teatru, rażą nas swoim blaskiem. Śnieg staje się przeraźliwie biały, oślepiający i wrogi. Jest w tej scenerii coś niesamowitego. Gdzieś za pierwszą chałupą zapala ją się szybkie i migotliwe błyski. Uderza w nas salwa karabinu maszynowego. Po niej druga. Chłopcy walą się w śnieg jak podcięci nożem. Rzucam się szczupakiem w zaspę obok drogi i nie zdejmując automatu z szyi, ściągam go w prawo i kropię serię prawie na oślep, byle tylko w stronę tamtego błysku. Nie idzie mi. Zgrabiały palec ślizga się po żelazie. Wyrzucam rękawiczkę — jeszcze gorzej. Zagryzam wargę i naciskam spust dwoma palcami — poszło. Pewnie Panu Bogu w okno, ale poszło.

Pierwsi dwaj z naszej grupy ciągle leżą nieruchomo. A więc dostali na dobre. Trzeci, Kaczor, zrywa się nagle i kropiąc z automatu, próbuje dobiec do tej kuszącej ściany lasu. Ale ściana odpowiada ogniem. Kaczor pochyla się, jakby chciał sobie poprawić sznurowadła i wali się głową w śnieg. Teraz już wiemy, że i w lesie nie ma ratunku. Okrążyli nas ze wszystkich stron.

Tylko Żbik i Kaliberda nie przerywają ognia. Leżą obaj za kamiennym cokołem figury Matki Boskiej. Cokół nie jest zbyt wysoki, ale chroni przed kulami na tyle, że mogą zmieniać magazynki. Matki Boskiej już nie ma. Pierwsza salwa ścięła ją z cokołu obsypując gipsem Kaliberdę i Żbika.

Właściwie jest jedna szansa — ten wysoki płot, który mamy z prawej strony. Za nim jest sad, potem drugi płot, dalej zagajnik, a jeszcze dalej las. Ale walą w nas jak w kaczy kuper. Zrozumiałem, że nie wyjdę stąd żywy. Zaraz nas wszystkich wykończą. Znowu rakietnica i znowu widno jak w dzień.

Tym razem żyrandol zwisa już nad ścianą lasu. Pod płotem nie jest tak widno. A więc może płot? — Nie mogę się zdecydować. I wtedy słyszę krzyk Żbika: „Panienka, skacz przez płot! Ja cię osłonię". — Brzmi to jak rozkaz. Zrywam się bez zastanowienia i rzucam się w lewo. Śnieg jest tu jeszcze głębszy i bardziej sypki. Nie mogę nabrać rozpędu, odbijam się źle i na domiar złego zaczepiam paskiem od automatu o deski. Tak złamany w pół zwisam na płocie i miotam się rozpaczliwie. Kule walą w deski jakby wokół mnie wbijano gwoździe.

— Panienka! Skacz, skacz prędzej! — drze się Żbik, ale jest już za późno.

Potworny huk i płot rozerwany granatem wali się w śnieg razem ze mną. Dostałem — myśl pierwsza. Dostałem, ale żyję — myśl druga. Oj, chyba zdrowo dostałem. Teraz dopiero czuję potworny ból w prawym biodrze i jednocześnie mam uczucie jakby mi ktoś przyłożył do nogi gorący kompres. To krew.

Leżę nieruchomo. Twarzą w śniegu, bez czapki, którą zerwał mi podmuch, ale z automatem i kawałkiem deski uwikłanym w skórzany pasek. Widzę niewiele, zaledwie kilkanaście centymetrów śniegu, tuż na wysokości twarzy. Gdybym podniósł głowę choć odrobinę, mógłbym zobaczyć więcej.

Tymczasem strzały milkną. To pewnie znaczy, że wybili nas wszystkich. Słychać tylko podniecone okrzyki. Niemcy rozbiegli się po całym pobojowisku. Od czasu do czasu pada pojedynczy strzał. Domyślam się, że dobijają rannych. I wtedy właśnie słyszę swego Niemca. To znaczy, słyszę kroki. Zbliżają się do mnie. Nie, pomyliłem się, jest ich dwóch. Oto stają nade mną, obmacują mnie światłem latarek. Sapią głośno — musieli tu przybiec.

— Er ist schon erledigt — odzywa się pierwszy.

— Auf alle Faelle gibt ihm noch zu! — dorzuca drugi.

Teraz czekam kurcząc się w sobie, z upartą myślą, by nie drgnąć ze strachu. A jednocześnie widzę dnem swoich oczu tego Niemca pochylonego nade mną z karabinem gotowym do strzału. Trwa to pewnie mniej niż ułamek sekundy, a jednak i tego nie mogę wytrzymać. Chcę krzyknąć: no prędzej, strzelaj, bydlaku — ale Niemiec robi już swoje. Wali mnie kolbą na odlew prosto w głowę. Uderza z boku, niezbyt celnie. Pewnie poprawi jeszcze raz. Nie, nie ma już czasu, wołają go do odwrotu.

— Hans! Zurueck! Schneller!

Tracę przytomność.

W godzinę później znaleźli mnie chłopcy Szarugi w polu, prawie pięćdziesiąt metrów od płotu. Musiałem więc czołgać się co najmniej pół godziny.

Byłem nieprzytomny i sprawiałem wrażenie zamarzniętego na kość. Wrzucili mnie na sanie tylko po to, żeby zakopać razem z tamtymi zabitymi przy drodze.

Miałem pęknięty czerep, biodro rozprute do kości i palce u rąk białe jak świeczki. Tak mi to pięknie opisał później Kaliberda.

Właściwie tylko on jeden wyszedł z tej historii cało, bez najmniejszego zadraśnięcia. Ocalał także Żbik z przestrzelonym obojczykiem. Dąbek z kulą w łokciu i jeden nowy podziurawiony jak sito. Czyli razem czterech, oczywiście nie licząc mnie, bo któż by mógł wtedy przypuszczać, że jeszcze żyję...

Przerwałem swoją opowieść. Bieniek podsunął mi papierosa.

— Nie, dziękuję, później zapalę. Wybacz, że tyle mówię o sobie, ale zaraz będzie i o Adamiaku.

Otóż wtedy, w tych saniach, woźnica usłyszał mój jęk. Podobno jeden jedyny, ale to właśnie zadecydowało o tym, że przewieziono mnie ze Żbikiem, Dąbkiem i nowym do Komornicy, gdzie miał nas opatrzyć felczer.

Dobrze się stało, że przytomność odzyskałem dopiero po tygodniu. Nie wiedziałem nic o tym, że mi wyjęto z biodra odłamek i że nic nie widzę.

Jeszcze przez parę dni miałem piekielną gorączkę i właściwie pierwszym dniem, który pamiętam, był Nowy Rok. Ktoś mnie rano ogolił potwornie tępą żyletką, potem zjadłem jakąś kaszkę i chociaż karmiła mnie dziewczyna o miłym głosie, dostałem torsji. Wieczorem (słyszałem, że wydojono już krowy) przyszedł Żbik z Kaliberdą i z miejsca zaczęli mnie pocieszać. Wiesz, takim trochę szkolnym systemem, że niby z moim wzrokiem nie jest tak źle, że był tu już jakiś doktor, który mnie badał i jak tylko zagoi się biodro, to mnie zaraz zawiozą do Zamościa, a tam niewielki zabieg i będę widział nawet komara na kościelnej wieży.

Czułem, że kłamią, że nie było tu żadnego doktora, ale nie miałem im tego za złe. Złościło mnie tylko to, że nie chcą mówić o kumplach z naszego oddziału. I nagle Kaliberda sam się wkopał.

— Wiesz, Ali-Baba — ni z tego, ni z owego zwrócił się do mnie szkolnym przezwiskiem — że właściwie to my czterej zawdzięczamy ci życie.

— Jak to czterej? — przyparłem go do muru.

— No rozumiesz, bo właśnie nas czterech...

Zrozumiałem. Teraz dopiero zrozumiałem, że zostało nas tylko pięciu.

— Czekaj, ja mu to wyjaśnię — wtrącił się Żbik. — Otóż wtedy, kiedy wisiałeś na płocie któryś Szkop rzucił granat. Płot rozniosło i dzięki tobie mieliśmy otwartą drogę na zagajnik.

— To dziwne, że was nie skosili — zauważyłem dla podtrzymania rozmowy.

— Nie takie dziwne — zapewnił mnie Kaliberda. — Szaruga ciągnął już z odsieczą. Jak tylko Szkopy usłyszeli strzelaninę od strony lasu, odechciało im się wszystkiego. Piorunem zajęli miejsca w ciężarówkach i w popłochu wycofali się na Zamość.

— Nie zdążyli nawet spalić Oseredka — dorzucił Żbik.

— Na wsi zginął tylko jeden chłopak, który ujął się za moim psem, bo oni wtedy rozwalili wszystkie psy — wyjaśnił Kaliberda. — Wiesz, kto tych Szkopów przyprowadził? Wyobraź sobie, że ten sam dziadyga, co chodził po prośbie. To on nas sypnął, szpicel dziobaty. Ech, żeby go tak dostać w swoje rączki!

Niespodziewanie Kaliberda zmienił temat rozmowy.

— Wiesz co, mamy dziś Nowy Rok. A może masz chęć na kielicha? Przynieśliśmy całą moją manierkę.

Przypomniałem sobie, że z tej manierki piłem ostatni raz na porębie i kiedy wlewałem bimber do gardła, widziałem na niebie pierwsze gwiazdy.

Teraz i bez wódki kręciło mi się w głowie. Byłbym im odmówił, gdyby nie to, że do rozmowy wmieszał się głos tej samej dziewczyny, która karmiła mnie kaszką.

— Panowie, proszę nie dawać mu wódki, on ma jeszcze gorączkę.

— Nalej mi — uciąłem krótko i wyciągnąłem drżącą rękę w kierunku napełnianej szklanki. — Wasze zdrowie! — Przechyliłem szklankę i wypiłem do dna.

Przytomność odzyskałem dopiero nazajutrz koło południa. Odzyskałem przytomność i nie chciałem wierzyć własnym oczom. Przez chwilę sądziłem, że majaczę. Tuż przed moją twarzą, zwróconą ku ścianie, widniały zamglone kolorowe plamy. Zamknąłem oczy, plamy, a właściwie pręgi znikły. Otwieram i znowu widzę. Widzę, naprawdę widzę.

— Bronka! — krzyknąłem tak przeraźliwie, że w całym domu powstał popłoch.

— Co się z panem dzieje?

— Bronka, co jest na tej ścianie?

— Nic nie ma.

— Jak to nic?

— No jest, wisi taki dywan, szmaciak, jak to u nas nazywają.

— Kolorowy?

— Kolorowy.

Rozpłakałem się jak dziecko.

No, a teraz wyobraź sobie, że ta Bronka, to była siostra Adamiaka. A w Nowy Rok ogolił mnie tą piekielną żyletką nasz szkolny kolega Adamiak.

---

Fragment powieści, która ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

★ ★ ★ ★

Obecność przesiadywania na drzewie
skąd wiatr jest tylko inną formą podróży
mój zbyt szeroki gest wszechobejmujący
pamięć i pobliski cmentarz
jej futro zdjęte z jaguara

rzekłbyś dwa ciała zawsze oddalone
i linia skoku wygięta z pragnienia
dla dziewczyny w locie
na upatrzone miejsce miłości

## POLONICA

### O LITERACKIM WYCHOWANIU MŁODZIEŻY

Na ten pasjonujący temat mówił niedawno w Penclubie polskim profesor socjologii na Uniwersytecie w Tours, Andre Marevil. Jest on gorącym i wypróbowanym przyjacielem polskiej kultury. Jako wydawca przyczynił się do opublikowania bajek polskich dla francuskich dzieci, w opracowaniu Ireny Lubaszewskiej-Ochnio. Otworzył też tomy pedagogicznych pism francuskich dla polskich specjalistów, piszących o polskiej literaturze młodzieżowej i dziecięcej w latach 1945—1970. Marevil odwiedził nasz kraj po raz pierwszy w 1945 roku, przyjechawszy z francuską misją repatriacyjną. Ostatnimi laty często nas odwiedzał.

W swym odczycie prof. Marevil zwrócił uwagę, że ograniczenie nauki języków starożytnych w szkołach francuskich przyczyniło się do pewnego obniżenia zainteresowań literackich wśród młodzieży. Podobnie działa wpływ techniki oraz wzory amerykańskie. Telewizja i reklama handlowa ujednostajniają tryb życia. Młodzi inżynierowie kupują wprawdzie książki literackie, ale raczej na „objętość" (by wypełniły miejsce na półkach), niż po to, by je naprawdę czytać. Dziewczęta masowo naśladują popularne gwiazdy filmowe jak Marie Jose Nat. „Antypowieść" działa dość dezorientująco. Jednak ostatnio nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Literatura jest potężnym czynnikiem wychowania, rozbudza wyobraźnię, przeciwdziała nihilizmowi, mowa oczywiście o literaturze wielkiej. Z zainteresowaniem wspomniał prof. Marevil o polskim systemie nauczania literackiego, polegającym na poznawaniu przez młodzież całego utworu, a nie tylko pewnych jego fragmentów (jak w krajach Zachodu).

Po referacie wywiązała się długa i ożywiona dyskusja. Zabierali głos zarówno pisarze, jak i pedagogowie, m. in. Wojciech Natanson, Jerzy Lisowski, Irena Wojnarowa, Wanda Melcer-Rutkowska oraz inni.

## POLONICA

ARTHUR SCHOPENHAUER

# O pisarstwie i STYLU

KAŻDY pisarz staje się zły, gdy tylko zacznie pisać dla zysku. Znakomite dzieła wielkich twórców pochodzą z czasu, kiedy musieli oni pisać bezpłatnie lub jedynie za bardzo nie wielkie wynagrodzenie. A więc również i tutaj sprawdza się hiszpańskie przysłowie: honra y provecho no caben en un saco. (Zaszczyty i pieniądze nie idą do tego samego worka). Wszelkie biadolenie dzisiejszej literatury w Niemczech i poza ich granicami ma swoje źródło w zarabianiu pieniędzy pisaniem książek. Każdy, kto potrzebuje pieniędzy, zasiada przy biurku i pisze książkę, a publiczność jest tak głupia, że to kupuje. Dalszym następstwem tego faktu jest zniszczenie języka.

Niemała grupa złych pisarzy żyje wyłącznie z szaleństwa publiczności, która chce czytać tylko to, co się dziś drukuje — to znaczy dziennikarzy. Dlatego bardzo słusznie określa się ich mianem „wyrobników dnia".

Nowe jest rzadko dobre, ponieważ to, co dobre, tylko przez krótki czas jest nowe.

Prawie w każdym czasie, zarówno w sztuce jak i w literaturze, rodzi się jakiś fałszywy pogląd, obyczaj lub maniera i bywa zwykle obiektem podziwu. Umysły pospolite zabiegają gorliwie, aby je sobie przyswoić i wedle nich postępować. Człowiek rozumny w lot je rozpozna i wzgardzi nimi, pozostając poza modą. Ale po latach także i publiczność przejrzy to wszystko, wyśmieje, a podziwiana szminka owych zmanierowanych dzieł odpadnie jak źle nałożony gips na murze — i oto zostaną one tym, czym są. A więc nie złościć się, lecz cieszyć trzeba, jeśli jakaś długo żyjąca w cieniu fałszywa prawda zostanie odsłonięta, głośno i dobitnie wypowiedziana. Albowiem w ten sposób to, co fałszywe, będzie powszechnie wyczuwalne, rozpoznane i ocenione. Stanie się z nim to, co dzieje się z nabrzmiewającym wrzodem.

Styl jest fizjonomią ducha. Jest ona bardziej nieomylna, niż fizjonomia ciała. Podrabiać styl obcy znaczy: nakładać maskę. Gdyby nawet maska ta była piękna, nie przestanie ona być martwa, błazeńska i nieznośna, wskutek czego lepsza jest każda żywa twarz, niechby najbrzydsza. Dlatego pisarzy, naśladujących styl swoich poprzedników, da się porównać do masek: słyszy się, co oni mówią, ale nie widzi się ich fizjonomii, ich stylu.

Aby ocenić wartość produkcji duchowej pisarza, niekoniecznie potrzeba wiedzieć, o czym on myślał, wymagałoby to przeczytania wszystkich jego dzieł. Rzeczą o wiele ważniejszą jest, aby wiedzieć, jak on myślał. Od tego jak rozwijała się myśl, od istoty twórczości i przenikających ją walorów, zależy rodzaj i jakość stylu. Styl ukazuje mianowicie formę twórczą ludzkiego myślenia, które winno być wierne sobie bez względu na to, o czym by człowiek nie pomyślał.

Mroczność i niejasność wyrazu jest, zawsze i wszędzie oznaką czegoś bardzo niedobrego. Bowiem w 99 przypadkach na 100 biorą się one z niejasności myśli, która z kolei prawie zawsze ma swoje źródło w dysproporcji, chwiejności poglądów a więc w fałszywości procesu myślowego.

Jeśli w umyśle powstanie myśl słuszna, dąży ona do przyoblecze nia się w formę zrozumiałą i rychło ją też osiągnie. To, co jasno pomyślane, znajdzie łatwo odpowiedni dla siebie wyraz. Wszystko, co człowiek pomyśleć może, da się wypowiedzieć w słowach jasnych, konkretnych i niedwuznacznych. Ludzie, wygłaszający mowy ciężkie, mroczne, zawiłe i dwuznaczne, nie wiedzą zaiste, co chcą powiedzieć, mając jedynie niejasną, dobijającą się swego wyrazu świadomość, a niekiedy chcą po prostu ukryć przed innymi własną pustkę.

Przewodnią zasadą każdej stylistyki winno być przekonanie, że człowiek tylko jedną myśl może w danej chwili domyśleć do końca. Dlatego nie należy w niego wpajać, że może myśleć naraz o dwu, czy zgoła więcej rzeczach.

Trafne sformułowania, oryginalne ujęcia i szczęśliwe zwroty dzielą los ubrań: gdy są nowe, błyszczą i robią wrażenie. Ale skoro tylko każdy po nie sięgnie, zużyją się wkrótce i stracą siłę i moc oddziaływania.

Niezrozumiałe spokrewnione jest z nierozumnym i trzeba uznać za rzecz prawdopodobną, że kryje się w tym nie tyle myśl głęboka, ile raczej zwykła mistyfikacja. Kto naprawdę ma coś do powiedzenia, nie ucieka się do wyszukanych środków, ciężkich fraz i zagmatwanych aluzji, lecz wypowiada się prosto, wyraźnie i w sposób naturalny, będąc pewnym, że nie chybi celu. Kto używa owych sztucznych środków wyrazu, zdradza ubóstwo myśli, ducha i nieznajomość rzeczy.

Prawdziwą cechą charakteru narodowego Niemców jest ociężałość: daje ona o sobie znać w ich chodzie, w ich pracy i poczynaniach, w ich języku, przemówieniach, opowiadaniu, rozumowaniu i myśleniu. Ale nade wszystko w ich stylu pisarskim, w upodobaniu do długich zawiłych zdań, z którymi pamięć pozostaje sam na sam przez długie pięć minut, nim narzucony styl odcyfruje i w końcu zdoła go pojąć i zrozumieć. Ze szczególnym jednak upodobaniem autorzy niemieccy dążą do tego, aby wyrażać się w sposób możliwie nieokreślony i niezdefiniowany, wskutek czego wszystko nurza się we mgle i ciemnościach.

Są trzy rodzaje pisarzy. Najpierw ci, co piszą, nie myśląc. Piszą z pamięci, w oparciu o reminiscencje, albo wprost przepisują z obcych książek. Ta klasa jest najliczniejsza. Druga grupa to ci, co myślą w czasie pisania. Myślą, aby pisać. Jest ich bardzo wielu. I wreszcie grupa trzecia to ci, co pomyśleli, nim przystąpili do pisania. Piszą dlatego, że myśleli. Nader rzadkie zjawisko.

Człowiek, nie znający łaciny, przypomina kogoś, kto znalazł się w pięknej okolicy przy pogodzie mgły pełnej: jego horyzont jest ograniczony, widzi jedynie to, co najbliższe, ale już kilka kroków dalej gubi się w niepewności. Natomiast horyzont łacinnika rozpościera się daleko poprzez nowe stulecia, średniowiecze i czasy starożytności. Kto nie rozumie łaciny, należy do upośledzonych, nawet gdyby był wielkim wirtuozem techniki i miał w swoim tyglu najznakomitsze kwasy i roztwory.

Słowo ludzkie jest najtrwalszym materiałem. Zdoła pisarz dla swego przelotnego uczucia znaleźć najwłaściwsze słowa, będzie ono żyć w nich wieki, i w każdym wrażliwym czytelniku ożyje na nowo.

Przełożył **JAN KOPROWSKI**

*Marian Stroński* — *Okno*

ROMAN ŁOBODA

# Uwagi na marginesie V Warszawskich Spotkań Teatralnych

**Doroczne „Warszawskie Spotkania" cieszą się już pewną tradycją. Piąte odbyły się w dniach 12—21. XII. 1969 r. Ostatni przegląd osiągnięć teatrów pozawarszawskich w stolicy nie tylko okazał się najlepszy ze wszystkich, obalił również mit, jakoby na tzw. prowincji nie mogły powstawać spektakle ciekawe, a nawet wybitne.**

Teatry Krakowa, Wrocławia, Katowic, Koszalina i Słupska dały przegląd polskich sztuk od Bogusławskiego do Różewicza i Bryla.

O ile teatry Krakowa nigdy nie okazywały, a może nawet nie odczuwały kompleksów pozastołecznych, a wrocławskie już dawno o nich zapomniały, to pozostałe uczestniczące w spotkaniach udowodniły, że wszystkie „obiektywne" uwarunkowania nie przeszkodziły im w pokazaniu teatru dalekiego od miana „prowincjonalny". Rewelacją spotkań nie był bowiem ani Kraków, ani Wrocław, lecz Teatr Bałtycki z Koszalina i Słupska, który pokazał dwie różne w konwencji scenicznej sztuki: „Krakowiaków i Górali" i „Wścieklicę" Witkacego. Tyle było świeżości, dynamiki i barwności w „Krakowiakach", że widowisko jakby znów odmłodniało i nabrało nowych powabów. „Wścieklica" została odczytana dosłownie, ze zrozumieniem tekstu, ale bez przydawania nowej filozofii i dodatkowych dziwactw, o których brak przecież nie można autora „Szewców" oskarżać. Dwaj młodzi reżyserzy: Andrzej Ziębiński i Maciej Prus (reżyser „Wścieklicy") stanęli śmiało w szranki z takimi inscenizatorami jak Jerzy Krasowski, Konrad Świnarski, Józef Szajna i Jerzy Jarocki, stawiając Teatr Bałtycki w rzędzie najambitniejszych. Dodać należy, że nie dysponowali oni doborową kadrą aktorską, a nawet w „Krakowiakach i Góralach" Ziębiński musiał się uciec do pomocy amatorów.

Spotkania Warszawskie ujawniły pewne dość istotne zmiany, jakie zaszły w układzie struktury teatralnej w Polsce. W dalszym ciągu stolica posiada najsilniejszą, nie mówiąc o tym, że o wiele zaliczną — kadrę aktorską, ale kadra reżyserska topnieje, zasilając teatry „prowincjonalne", o czym chciałby świadczą nazwiska uczestników tegorocznych „Spotkań"; wyrastają również poza stolicą młode talenty na dojrzałych reżyserów. Podobnie ma się rzecz ze scenografami. Niestety Łódź jakby była poza obrębem tych „naczyń połączonych". Zbyt często mówienie o kompleksach może być również za nie poczytywane, niemniej jednak przemilczanie spraw istotnych też nie świadczy o bezkompleksowości.

Jeżeli chodzi o kadrę aktorską, bazę teatralną, środki techniczne i położenie geograficzne — jesteśmy bardzo blisko Warszawy. Nie mamy tylko na „zbyciu" tylu wybitnych reżyserów. Żyjemy w słodkiej stagnacji, niczego nie wywozimy, niczego nie przywozimy. V Spotkania Teatralne nie są pierwszymi, w których żaden z łódzkich teatrów nie bierze udziału. Nie obdarowała nas również ostatnio Warszawa żadną wybitną indywidualnością teatralną.

Tak bardzo „warszawopodobni" nie posiadamy ani rezerw kadrowych stolicy, ani zapału i ambicji prowincjuszy. Za mało również młodych, których talent dojrzewa do pełni. W rzędzie najwybitniejszych mieści się Grzegorzewski, a bardzo udane reżyserie: „Życie jest snem" — Witolda Zatorskiego i „Advocatus diaboli" — Aleksandra Strokowskiego napawają optymizmem. Ale to już wszystko. I co dalej?

Po zakończeniu Warszawskich Spotkań Teatralnych odbyła się konferencja prasowa. Niektórzy recenzenci warszawscy wyrażali swoje zaniepokojenie konfrontując spektakle warszawskie z odpowiednikami pozawarszawskimi, prezentowanymi na „Spotkaniach". Dostrzegali większą świeżość inscenizacyjną i żarliwość interpretacyjną „prowincjonalnych" spektakli.

Pesymistyczne stwierdzenia jakoby poziom teatrów stołecznych obniżał się, były chyba raczej podyktowane troską ludzi, którzy spostrzegli nagle, ile zapałem, ambicją i żarliwą pracą oraz kształceniem rzemiosła może osiągnąć „ubogi krewny".

Na zakończenie nasuwa się wniosek: ośrodki teatralne w Polsce stają się powoli układem naczyń połączonych. Wartości ulegają przemieszczaniu i wymianie. Krążenie pobudza energię i żywotność życia teatralnego w obrębie tego ruchu. Niestety wydaje się, że Łódź teatralna znajduje się poza tym układem wartości, a tylko kilka z mniejszych ośrodków podziela jej los. W takim systemie jest rzeczą naturalną i można rzec — zdrową, że wreszcie Warszawa staje się dawcą, a nie tylko biorcą.

W tym względzie nie naśladujmy stolicy. Może lepiej Wrocław, a nawet Słupsk?

RYSZARD BINKOWSKI

# Gramatyka przy dojeniu

**Osiągamy coraz znaczniejsze wyniki w dziedzinie przywilejów socjalnych. W biurach i halach fabrycznych przestrzegamy konsekwentnie godzin pracy. Dbamy też o niedzielny wypoczynek pracowników, stwarzamy im środki rekreacyjne, kulturalno-rozrywkowe. Nasi behapowcy czujnie strzegą bezpieczeństwa zatrudnionych, zapoznają ich z przepisami, kontrolują warunki pracy.**

**Czemuż jednak ochrona zdrowia i prawo do odpoczynku dotyczą wyłącznie ludzi dorosłych? Dlaczego nie ustanowiono jeszcze przepisów BHP dla dzieci?**

**A przecież pragniemy dać młodemu pokoleniu maksimum wiedzy. Chcemy tego, ale nie baczymy na warunki, w jakich ta wiedza ma być przyswajana. I to jest już stan niepokojący, który zmusza do bicia na alarm.**

**Dzień pracy uczniów w klasach V—VIII wiejskiej podstawówki jest dłuższy, aniżeli dzień pracy robotnika, pielęgniarki czy urzędnika, jakkolwiek uczeń formalnie przebywa w szkole 32 godz. tygodniowo. Nie wliczam tutaj kółek zainteresowań, zajęć sportowych i społecznych. Oto przykłady:**

**Janek, drobny blondynek,** o niebieskich, trochę przygaszonych oczach ma 14 lat, 130 cm wzrostu, 29 kg wagi. Chodzi do IV klasy wiejskiej podstawówki, bo zawsze brakuje miejsca w szkole specjalnej.

Ten chłopiec wstaje o 6.30 i nie zawsze je śniadanie. O godz. 7.00 wyrusza do odległej o 3 km szkoły. Matka daje mu 2 zł na bułki.

Przeważnie o 13.00 wraca do domu, ale obiadu nie je, gdyż ojciec wraca z pracy w mieście o 15.00, przeto matka gotuje dla niego. A gospodarstwo liczy 8,3 morga, starszy brat też pracuje w mieście, więc Janek nosi wodę, rąbie drwa, tnie sieczkę. Nad wieczorem zabiera się do nauki. Kopci naftówka, wąsiate chłopaki rżną w durnia, chlusta, a Janek się uczy. Ma poważną wadę wymowy. Mówi z płaczem, że pragnąc się nauczyć czytać 2 strony tekstu, musi poświęcić trzy godziny.

☆ ☆ ☆

**Krępy, kanciasty Franek,** błądzi czarnymi oczyma po swych wielkich wojskowych buciorach i połatanych drelichowych nogawkach. Mówi cicho: — Moja starsza siostra pracuje w żłobku, a brat na budowie. Wstają o szóstej i biorą się do oprządku, bo mamy 17,5 morga, 4 krowy, cielę, trzy świnie i dwa konie. A ta ta też pracuje w mieście jako strażnik, no to ja rzadko zdążę zjeść śniadanie, a mama to nieraz da 2 zł, a nieraz to nic nie biorę. I ja już raz siedziałem 2 lata w tej samej klasie. Latem to mnie tak nogi bolą, że nie wiem, bo stale muszę łazić za pługiem, drapakiem albo broną. Lekcje zaczynam odrabiać jak się zrobi ciemno i mama zapali lampę. Lekcji dużo, tata chce spać, to gaszą światło, a ja wtedy nieraz polecę na wieś do chłopaków, bo nie chce mi się już odrabiać, no i światła też nie ma.

☆ ☆ ☆

**Zwalisty, pucołowaty Piotrek,** siedzi pochylony i opiera na kolanach duże, gruzłowate dłonie robotnika. Ma szesnaście lat i jest uczniem klasy VII. Powtarzał drugą, piątą i szóstą klasę. — Nieraz to mi się w szkole chce spać i nic nie rozumiem na lekcji. No bo trzeba wstać o piątej i jechać 2 km przez las do piekarni. Potem ścielę pod krowami, daje im pić, a świniom żarcie, a koniowi też. Ale to nic. My mamy duży staw, tonę ryb się zawsze wyciągnie, to jak przyjdą roztopy, to trza całą noc pilnować, żeby woda nie zabrała ryby. A tata robi na noc za portiera, brat znów zwozi torf do ogrodników. Do szkoły jest kawał, bo cztery kilometry przez las, łąki, pole. Jak przyjdę o 15.00 do domu, to jem obiad i zaczynam oprzątać. Potem trochę odrabiam lekcje, ale dużo tego jest, a na wieczór to znów muszę doić krowy. Światła u nas jeszcze nie ma.

☆ ☆ ☆

**Marysia nie jest nazbyt zdolna,** ale bardzo pracowita. Ona jedna z ósmej klasy otrzymała wydane przez Wydział Oświaty miejsce w technikum. Pragnie wykorzystać tę szansę. A jej ojciec posiada czterohektarowe gospodarstwo i dużą kurzą farmę, przeto również zimą jest tu dużo pracy.

Marysia uczęszcza do technikum w Łodzi. Wstaje o 6.00, by zdążyć do przystanku tramwajowego, odległego o 3 km. Potem prawie godzinna jazda. Cztery razy w tygodniu lekcje trwają do 16.00, więc dziewczyna wraca do domu około 18.00. Prawie dwie godziny musi poświęcić na pomoc matce w gospodarstwie, około 20.00 zabiera się do lekcji. W technikum zadają dużo, trzeba więc ślęczeć nieraz do północy, bo obowiązuje także lektura.

Jeżeli ten godzinowy, liczbowy wywód nieco nuży, to jego wynik jest chyba szokujący. Szesnastoletnia dziewczyna śpi bowiem sześć godzin na dobę, pozostałe zaś poświęca pracy i dojazdom. Nie korzysta z żadnych rozrywek. W niedzielę wypoczywa w łóżku. Nie idzie nawet do kościoła, choć sąsiedzi pokrzywę noszą w języku.

☆ ☆ ☆

Powyższe cztery obrazki są typowe, ale wcale nie skrajne. Znana jest mi historia małej, drobnej dziewczynki, uczennicy siódmej klasy. Matka pijaczka opuściła rodzinę, przeto dziewczynka objęła funkcję gospodyni. Ale nie w tym sedno. Ta mała nosiła wapno, przesiewała żwir, pomagała przy ustawianiu rusztowań, dźwigała cegły. Wraz z ojcem zbudowała dom (!) Niby anegdota, ale jej pointa bolesna: piątkowa uczennica w ciągu dwóch lat „budowy" zjechała na dwóje.

Bo wiejskie dziecko wciąż pozostaje robotnikiem. Rodzice i starsze rodzeństwo idą do przemysłu. Ciężar pracy w gospodarstwie spada na dzieci. Stają się one pracownikami pola, obory i męczennikami klasówek, „słupków", ćwiczeń gramatycznych, ortograficznych.

Rodzice budują domy, dokupują morgi, sprowadzają pod strzechę motocykl, telewizor. I, jak powiadają, nie zabiorą tego do grobu. Zostawią dla dzieci, aby mogły żyć w dostatku. Ale nie wiedzą, że czynią to kosztem trudnego, ciężkiego i smutnego dzieciństwa własnych dzieci. Tłumaczą rodzice, że ich droga do wiedzy była stokroć trudniejsza. I to jest prawda, ale czy oni mają prawo zmuszać dzieci do przeżywania ich tamtego, onegdajszego dzieciństwa?

Tego nie reguluje żadna ustawa. I nikt nie pozbawi rodziców prawa rodzicielskiego. Wszak wychowują własne dzieci, nie biją ich za mocno i za mocno nie głodzą. Budują dostatek, niosą z tkalni, przędzalni i z wielkiej budowy ten zapaśny grosz, który był odwiecznym marzeniem chłopa.

Dzieci piszą w wypracowaniach: „Mój tata jest taki jak trzeba. Nie ma sztucznych zębów, nie czyta gazet, lubi wypić i da mi nieraz całe 10 zł". Za tę cenę dzieci kochają rodziców. Problem ulżenia dziecku w domu jest trudny do rozwiązania. Ale przecież oprócz rodziny wychowuje i uczy szkoła.

☆ ☆ ☆

Dzieci za dużo pracują i za dużo zadaje im się do domu. Nauczycielowi brakuje czasu na wyjaśnienie pracy domowej, przeto razem z dziećmi wykonują ją rodzice. I rośnie liczba korepetycji w miastach. Na wsi rodzice są mniej wykształceni, a słowo „korepetycja" jest im całkowicie obce. Wiadomo, że dziecko miejskie często zostaje na ulicy, bo rodzice w pracy, ale częściej też trafia ono do świetlicy, gdzie zje ciepły obiad i napisze lekcje pod kierunkiem nauczyciela.

Wobec nadmiaru zadań domowych (dotyczy to także miasta) należałoby zmienić proporcje: uczyć na lekcjach, a nie zadawać do domu. Prace domowe winny być mniejsze, polecane według wskazówek metodycznych danego przedmiotu.

Dla laika jest to proste i logiczne, ale nie dla nauczyciela, którego obowiązuje program. Każde odstępstwo od programu grozi narażeniem się władzom zwierzchnim. A program jest tak przeładowany, że na jego opracowanie nie starcza czasu na lekcjach. W dodatku ten sam program obowiązuje w mieście i na wsi, gdzie kadra pedagogiczna nie posiada tak wysokich kwalifikacji, a szkoły są o wiele słabiej wyposażone. To, oczywiście, nie może sugerować automatycznego spłycenia programu dla szkół wiejskich, ale jakaś zmiana systemu nauczania jest chyba konieczna. Takie opinie i sugestie daje się usłyszeć w środowisku nauczycielskim.

Nauczyciele na przykład doskonale znają uczniów i mogą bez zastrzeżeń wystawić ocenę za okres. Tymczasem muszą wystawić 4—5 ocen w ciągu okresu, aby się wykazać, przy czym ocena musi być jawna. Klasy są liczne, przeto chcąc sprostać zadaniu, pierwsze połowy lekcji poświęca się na odpytywanie, a wtedy właśnie uczeń jest jeszcze zdolny do myślenia. Podczas właściwej lekcji uczeń jest już zmęczony, nauczyciel nie mieści się w czasie i zadaje wszystko do domu.

Stąd też duża ilość słabych i przeciętnych uczniów żyje w ciągłym strachu przed odpytywaniem i oceną niedostateczną. Prymusi boją się utraty palmy pierwszeństwa w klasie, wszyscy drżą przed nauczycielem, rodzicami i pracami domowymi. I tak rośnie nam pokolenie nerwicowców.

W ludowym ćwierćwieczu z dobrodziejstw oświaty korzystało i korzysta miliony dzieci i młodzieży. Nie zawsze jednak dostrzegamy, że część tej młodzieży (zwłaszcza wiejskiej), zawód i pozycję społeczną zdobywa kosztem zbyt dużego wysiłku.

A przecież myślimy o objęciu wpływami szkoły wszystkich młodych ludzi do osiemnastego roku życia. I to jest piękne, lecz wspaniałe osiągnięcia nie mogą przyćmiewać swym blaskiem błędów, gdyż szlachetnych celów nie wolno realizować formalnie. Postulowana przez środowisko nauczycieli-praktyków zmiana systemu nauczania wydaje się być konieczna. Konieczna nie dla wygody nauczyciela, ale dla obrony ucznia, który winien mieć mądry rozkład pracy i wypoczynku podczas każdego dnia. Uczeń wiejski pracuje bowiem także podczas wakacji. A jeśli nawet odpocznie trochę, to ten wypoczynek nigdy nie wyrówna ani zregeneruje sił zmarnowanych w ciągu roku.

# Laureaci nagród m. Łodzi

### PROF. DR EDWARD JÓZEFOWICZ

Wieloletni dziekan i prodziekan Wydziału Chemii PŁ położył ogromne zasługi w kształceniu młodej kadry naukowej — wychował 18 doktorów nauk chemicznych i technicznych, w jego Katedrze przeprowadzono sześć przewodów habilitacyjnych. Należy do współautorów projektu nowego słownictwa naukowego substancji nieorganicznych. Ma w swoim dorobku 43 prace naukowe — jest autorem 1000-stronicowego podręcznika „Chemia nieorganiczna". Przeważającą część badań prof. dr Józefowicz skupił na dwu dziedzinach: kinetyce — reakcji w roztworach oraz równowag fazowych. Katedra Chemii Nieorganicznej PŁ, którą kieruje od 1945 roku, specjalizuje się w zagadnieniach rentgenografii strukturalnej, katalizy i nowoczesnych metod analizy. Prof. dr Edward Józefowicz jest współtwórcą Wydziału Chemicznego PŁ. Z Łodzią związany jest od 25 lat.

### PROF. DR JANUSZ BARDACH

Kierownik Katedry Chirurgii Stomatologicznej i Kliniki Chirurgii Szczękowo-Twarzowej AM w Łodzi, prodziekan Wydziału Lekarskiego pracuje w Akademii Medycznej w Łodzi od 1954 roku. Ma w swym dorobku 62 prace naukowe, w tym trzy obszerne monografie oraz podręczniki dla studentów. Na szczególne podkreślenie zasługuje szereg oryginalnych metod operacyjnych usuwania zniekształceń wargi, nosa a zwłaszcza małżowiny usznej. Prof. dr J. Bardach jest jednym z niewielu w świecie specjalistów, zajmujących się odtwarzaniem małżowiny usznej. Laureat nagrody m. Łodzi otrzymał dwukrotnie nagrodę naukową I stopnia Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz pięciokrotnie nagrodę II stopnia. Pod jego kierunkiem wykonano trzy prace habilitacyjne, przeprowadzono 17 doktoratów. Prof. dr J. Bardach stworzył w Łodzi pierwszy w kraju i jeden z nielicznych w Europie Ośrodek Wad Rozwojowych Twarzy.

### PROF. DR ANTONINA KŁOSKOWSKA

Studia odbyła na Wydziale Humanistycznym UŁ w latach 1945—1948. W 1954 r. uzyskała tytuł docenta, a od 1966 r. jest profesorem nadzwyczajnym. Od 1961 roku kieruje Katedrą Historii Socjologii i Myśli Społecznej UŁ. W swoim dorobku naukowym ma ponad 120 prac. Zajmuje się głównie socjologią kultury i historią teorii socjologicznych w tym zakresie. Zajmuje się także socjologią rodziny. Najważniejszą jej pracą naukową jest wydana w 1964 roku monografia „Kultura masowa. Krytyka i obrona". Praca ta uważana jest za czołową pozycję w socjologicznej literaturze w skali światowej. Prof. dr A. Kłoskowska jest członkiem Podkomitetu do Badań Rodziny Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego oraz członkiem Komitetu Ekspertów UNESCO w Paryżu. Badania prof. dr A. Kłoskowskiej nad wzorem i modelem rodziny polskiej są wykorzystywane przez liczne instytucje i organizacje w kraju. Laureatka nagrody m. Łodzi jest członkiem kilkunastu towarzystw i organizacji naukowych w kraju i za granicą, członkiem rad naukowych redakcji czasopism. Położyła szczególne zasługi w badaniach nad procesami społecznymi i kulturalnymi Łodzi i Ziemi Łódzkiej.

### JADWIGA ANDRZEJEWSKA

Wybitna aktorka polska, rozpoczęła swą działalność artystyczną ponad 43 lata temu. Początkowo grała w kilku teatrach w Warszawie. Głównie jednak cała jej biografia artystyczna związana jest z Łodzią. Stworzyła w teatrze wiele ról komediowych i charakterystycznych, a także dramatycznych. Grała m. in. w „Dziewczętach w mundurkach", w „Żabusi", „Pannie Maliczewskiej", „Dziewczętach z fotografii", „ Obronie Ksantypy". Popularność ogólnopolska zdobyła sobie dzięki 15 rolom filmowym stworzonym w latach 1933—1939. Stała się charakterystyczną postacią polskiego filmu, powszechnie znaną „Jadzią". Po wybuchu wojny w 1939 r. przebywa na terenie Lwowa, gdzie gra w Teatrze Miniatur, a następnie w różnych miastach ZSRR. W roku 1947, po powrocie do kraju, występuje w Teatrze „Syrena" w Łodzi, następnie w Teatrze Jaracza, a obecnie w Teatrze Powszechnym. Jej ogromne doświadczenie aktorskie, charakter sztuki aktorskiej, przeniknięte humanizmem i autentycznością przeżycia, dały szczególnie piękne wyniki w wielu spektaklach łódzkiego teatru telewizji.

### MGR INŻ. ARCH. ALEKSANDER ZWIERKO

Ukończył Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej w 1952 roku. W okresie studiów pracował jako projektant, starszy projektant i kierownik zespołu w „Miastoprojekcie" Wrocław. Brał udział w odbudowie Wrocławia, Żagania, Bolesławca i innych miast. W latach 1952—1955 był zastępcą kierownika Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego we Wrocławiu. Od 1955 roku pracuje w Łodzi w „Miastoprojekcie". Wykonał tutaj znaczną liczbę projektów domów mieszkalnych i obiektów użyteczności publicznej. M. in. zaprojektował 6 budynków mieszkalnych w osiedlu Bałuty I, 12-kondygnacyjny budynek mieszkalny z towarzyszącym zespołem budynków w Osiedlu im. Wł. Bytomskiej przy ul. Spornej, jeden z pierwszych wieżowców mieszkalnych w Łodzi, popularny pawilon handlowy „Kapelusz pana Anatola" i cztery wysokie budynki mieszkalne w Osiedlu im. 1 Maja, był współautorem projektu domu wczasowego „Prząśniczka", zaprojektował zespół budynków dla tzw. Rejonu „Centrum" Główna I i zespołu budynków „Centrum" — Traugutta. Jest autorem projektu 16-piętrowego budynku ZUS przy Pl. Niepodległości.

### DR ZYGMUNT LATOSZEWSKI

Kierownik artystyczny i dyrygent Teatru Wielkiego w Łodzi, studia muzyczne odbył w latach 1919—1926 w Konserwatorium w Poznaniu i na Uniwersytecie Poznańskim. W 1933 roku uzyskał doktorat za pracę pt. „Pierwsze opery polskie Macieja Kamieńskiego". Karierę dyrygencką rozpoczął w roku 1929 w Teatrze Wielkim w Poznaniu. W jego bogatej i wielostronnej pracy artystycznej należy wymienić działalność w Operze Warszawskiej w latach 1952—1955. Dr Zygmunt Latoszewski wprowadził na scenę wiele dzieł kompozytorów polskich, poczynając od prapremiery „Harnasiów" Karola Szymanowskiego w Teatrze Wielkim w Poznaniu (1933 rok), a kończąc na prapremierach „Tragedyi albo rzeczy o Janie i Herodzie" R. Twardowskiego i „Romansu gdańskiego" T. Paciorkiewicza w Teatrze Wielkim w Łodzi. Swoim wieloletnim doświadczeniem i intensywną pracą oraz doskonałymi wynikami artystycznymi przyczynił się do sukcesu jaki osiągnęły premiery na otwarcie Teatru Wielkiego w Łodzi. W tym roku Z. Latoszewski obchodzi jubileusz 40-lecia pracy. Dr Zygmunt Latoszewski jest twórcą zespołu orkiestrowego Teatru Wielkiego w Łodzi, wybitnym dyrygentem operowym, mającym w swoim dorobku niezliczoną ilość dzieł klasyki światowej i polskiej. Działa również jako dyrygent orkiestr symfonicznych w kraju i za granicą. W 1967 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# „Lohengrin"

DRUGA W BIEŻĄCYM SEZONIE PREMIERA TEATRU WIELKIEGO — „LOHENGRIN" RYSZARDA WAGNERA *) JEST ŚWIADECTWEM AMBICJI TEGO TEATRU I JESZCZE JEDNYM DOWODEM, ŻE KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE NIE BOI SIĘ TRUDNOŚCI, ŻE NIE SZCZĘDZI WYSIŁKÓW, BY NA TEJ SCENIE POKAZYWAĆ POZYCJE JEŚLI NIE NOWE, TO MAŁO ZNANE.

Powojennej widowni operowej twórczość Wagnera jest mało znana, a zajmuje ona przecież w światowej literaturze muzycznej jedno z czołowych miejsc. Ta „nieobecność" Wagnera nie jest przypadkiem. Z jednej strony wystawienie dzieła Wagnera nie jest sprawą prostą, wymaga specjalnych warunków: dużej sceny, dużego zespołu orkiestrowego, dużego liczebnie i mocnego głosowo chóru, dużych, nośnych głosów solistów, którzy by na tym tle byli słyszalni. Nie darmo istnieje określenie: wagnerowski głos. Z drugiej strony **Ryszard** Wagner (1813—1883), który w młodości reprezentował ideały rewolucyjne i w okresie Wiosny Ludów stanął po stronie rewolucji, w latach późniejszych przeszedł na pozycje reakcyjne, a w jego później szych dziełach można znaleźć tendencje nacjonalistyczne i rasistowskie. Dlatego faszystowska III Rzesza uczyniła z niego swego sztandarowego kompozytora, i stąd nasze opory w pierwszych latach powojennych. Trudno za to winić samego Wagnera zwłaszcza, że nie to jest w jego muzyce istotne. Stanowi ona z pewnością odrębny rozdział w dziejach muzyki i teatru, jej znajomość jest potrzebna dla ogólnego wykształcenia muzycznego. Dobrze się więc stało, że Teatr Wielki włączył do repertuaru „Lohengrina", zwłaszcza, że dr Zygmunt Latoszewski opracowuje tę pozycję nie po raz pierwszy. Wystawił ją również po wojnie, na scenie poznańskiej.

Wagner był przede wszystkim twórcą operowym, skomponował bez mała 20 dzieł tego gatunku i w tej dziedzinie stał się reformatorem. Przedstawiciel niemieckiej muzyki neoromantycznej, z młodszych lat wyniósł zainteresowanie literaturą, szczególnie grecką, ale i nie mniejsze — teatrem. Z takiego połączenia zainteresowań wyrosła zapewne idea dramatu muzycznego, który miał zastąpić operę klasyczną. Wagner stworzył taki dramat, nie znalazł jednak kontynuatorów — w szerszym tego słowa znaczeniu. Być może twórcy nam współcześni, poszukujący nowych form dla opery klasycznej, hołdujący idei sceny sztuk łączonych będą mogli znaleźć pokrewieństwo z Wagnerem.

Widział on dramat muzyczny jako dzieło łączące akcję, muzykę i grę aktorów jako integralną całość, w której żaden z elementów nie może istnieć samodzielnie, jeden uzasadnia drugi, tworzą spoistą całość. Sięgnął tu do starych zasad tragedii antycznej dając chóro wi rolę komentatora wydarzeń lub głosu opinii społecznej, likwidując partie solowe w sensie samodzielnych muzycznie arii, uzasadniając je zawsze akcją, rolę komentarza, ilustracji powierza dynamicznej, dramatycznej muzyce. Jeden musi być autor muzyki i tekstu, Wagner napisał libretta do wszystkich swych oper. O ile formalnie fascynował go dramat antyczny, to tematów do swych dzieł szukał przede wszystkim w mitologii starogermańskiej, w średniowiecznych legendach, umieszczał je na pograniczu historii, gdzie wyznaczał spotkanie dwóm światom: realnemu i fantastycznemu.

Elementy tak pojętego dramatu muzycznego zawiera już „Lohengrin" — romantyczna historia rycerza zakonu Graala, który przychodzi, by ratować cześć księżniczki Elzy niewinnie oskarżonej o zabicie brata, który przy pomocy czarów zamieniony został w łabędzia. „Lohengrin" poślubia Elzę pod warunkiem, że ta nie zapyta go o imię i pochodzenie. Elza nie dotrzymuje słowa, Lohengrin musi odejść, za to jej brat przybiera znów ludzką postać.

Myślę, że możemy darować sobie rozważania pt. „co autor miał na myśli", czy pokazać chciał dramat istoty nadprzyrodzonej, która zapragnęła ludzkiego uczucia, czy tragedię kobiety, która zniszczyła swe szczęście, czy jeszcze coś innego, interesuje nas przede wszystkim to, co jest w tej operze najcenniejsze — muzyka i teatr, który jej towarzyszy.

Kierownictwo Teatru Wielkiego podjęło interesująca decyzję powierzenia reżyserii i scenografii tego przedstawienia realizatorom niemieckim z Opery Lipskiej. Reżyserem jest **Wolfgang Weit**, scenografem **Bernhard Schroeter.** Dzięki temu mamy okazję oglądać operę Wagnera w tradycyjnym, pełnym pietyzmu dla intencji kompozytora wydaniu. Wydaje się, że koncepcja reżyserska poszła w kierunku pełnego wyeksponowania wszystkich elementów, składających się na to przedstawienie, bez usuwania w cień któregokolwiek z nich. Osobiście miałabym pewne zastrzeżenia do ustawienia aktorów — reżyseria poszła tu chyba w kierunku nadużywania teatralnego gestu i mimiki, co nawet przy całej umowności sceny operowej razi nas już dzisiaj. Zapewne w ten sposób reżyser chciał ożywić statyczne w całości przedstawienie, co zresztą nie dało zamierzonego efektu. Dramaturgia utworu jest dość wątła, oparta na słabej konstrukcji wątku dochowania czy niedochowania przyrzeczenia, akcja toczy się powoli, chór ma niewiele okazji do poruszania się — w tej sytuacji widz jest przede wszystkim słuchaczem i to wcale nie jest mało, bo w „Lohengrinie" jest czego słuchać.

Największa więc odpowiedzialność spoczywa w tej sytuacji na przygotowaniu i wykonaniu muzycznym. Przygotowanie to, zasługa **Zygmunta Latoszewskiego,** jest bardzo staranne, orkiestra gra bez zarzutu, z dużym uznaniem można się również wyrazić o chórze, aczkolwiek tu można było mieć największe obawy. Chór trzeba było do tej opery rozbudować, powiększyć, a praca z doangażowanymi śpiewakami na pewno nie była łatwa. Mimo to chór nie zawiódł, w pierwszym akcie wypadł specjalnie dobrze, a w dodatku wreszcie można zrozumieć **co** chór śpiewa. Wydaje się, że współpraca **Kazimierza Dębskiego** z Teatrem Wielkim, niedługa przecież, już daje dobre rezultaty.

Na dwóch przedstawieniach premierowych partię tytułową kreowali: **Jerzy Orłowski** i **Henryk Kłosiński.** Różne warunki głosowe i zewnętrzne obu śpiewaków sprawiły, że każdy z nich stworzył inną postać. Jerzy Orłowski bardziej liryczną, romantyczną, Henryk Kłosiński, bardziej do tej partii chyba dysponowany — surowszą, ostrzejszą, bardziej teutońską. W partii Elzy słyszeliśmy **Teresę Wojtaszek-Kubiak** i **Marię Foltyn.** Pierwsza zaśpiewała swą partię pięknie, jej czysty głos zabłysnął pełnym blaskiem, ukazując bogate możliwości wokalne tej śpiewaczki. Aktorsko stworzyła postać autentyczną, pełną wdzięku i godności zarazem. Nazwisko Marii Foltyn znamy nie od dziś, artystka ta ma za sobą wiele znakomitych wykonań, wiele sukcesów scenicznych i estradowych. Wydaje się jednak, że tym razem nie była dysponowana głosowo, a już zupełnie nie przekonywająca aparycyjnie.

Powierzenie bardzo trudnej, wymagającej olbrzymiej skali głosu, mezzosopranowej partii Ortrudy **Jadwidze Pietraszkiewicz** było chyba omyłką obsadową, z góry skazaną na niepowodzenie. Wydaje się, że i aktorsko poszła ona zbyt wiernie za wskazaniami reżysera, nadmiernie eksponując mimikę i gest. Natomiast **Teresa Skrzyńska,** która partią Ortrudy debiutowała na scenie łódzkiej, okazała się nie zwykle cennym nabytkiem Teatru Wielkiego. Ta trudna partia nie sprawiła pięknemu, nośnemu głosowi śpiewaczki żadnych trudności. Operowała ona także bardziej stonowanym, oszczędnym gestem.

Partię Telramunda wykonali: **Władysław Malczewski** i **Zbigniew Studler.** Władysław Malczewski, który partiami Kniazia Igora i Jana zdobył sobie uznanie i sympatię publiczności łódzkiej i tym razem zachwycił wspaniałym głosem, znakomitą, nienaganną dykcją, świetnym aktorstwem i — chyba jest to komplement dla artysty — zamiast odrazy jaką powinien wzbudzać, budził sympatię. Zbigniew Studler, reprezentujący inną barwę głosu i inne aktorstwo, pokazał się w doskonałej formie wokalnej i zaprezentował interesującego Telramunda w konsekwentnie, równo poprowadzonej partii.

W niewielkiej, ale wcale niełatwej partii Herolda królewskiego słyszeliśmy dwa ciekawe głosy: **Eugeniusza Nizioła** i **Zbigniewa Jankowskiego,** których na pewno jeszcze usłyszymy w większych partiach. Postać Króla Henryka kreowali **Stanisław Michoński** i **Michał Marchut.**

Bernhard Schroeter zbudował scenografię monumentalną, nowoczesną, oddziaływającą bryłą, światłem, stonowaną barwą. Ciekawe kolorystycznie i zapewne autentyczne historycznie kostiumy na tle tej scenografii sprawiły, że łódzki „Lohengrin" jest pięknym, ciekawym widowiskiem, kontynuującym dobre, widowiskowe tradycje tej sceny.

*) „Lohengrin". Muzyka i libretto — Ryszard Wagner; kierownictwo muzyczne — Zygmunt Latoszewski; reżyseria — Wolfgang Weit; scenografia — Bernhard Schroeter. Teatr Wielki w Łodzi, premiera 15. I. 1970.

*Z woleja*

# Oby było lepiej

*Podczas spotkań z łódzkimi władzami sportowymi dowiaduję się zawsze ze zdziwieniem jaki to mamy w Łodzi dobry sport, jakie to osiągamy wyniki, a rzekomo zazdroszczą ich nam bez mała w całym kraju. Mowa jest o pięknej przeszłości i świetlanej przyszłości łódzkiego sportu. Ze sformułowaniem tym od biedy można się jeszcze zgodzić, tylko niestety, teraźniejszość przedstawia się nie najlepiej. Jeżeli słowom tym przysłuchuje się duże grono działaczy, po zakończeniu mówca otrzymuje gromkie oklaski od owego grona, z którego chyba nikt nie wierzy w to co usłyszał. Nie bez pewnych podstaw przypuszczam nawet, że sami mówcy nie bardzo wierzą w to co mówią.*

*Czasem w indywidualnych rozmowach z przedstawicielem łódzkiej władzy sportowej, ten i ów odważniejszy usiłuje coś napomknąć na temat słabego poziomu wyszkolenia piłkarzy ŁKS czy nie najlepszej formy bokserów. Te „obrazoburcze" słowa nie wychodzą na dobre działaczowi, który uważany jest od tej chwili przez odnośne władze za psującego nienagannie działającą machinerię łódzkiego sportu.*

*Czym właściwie łodzianie mogą się pochwalić przed kibicami z innych miast Polski, czym ma się pochwalić dziennikarz spotykający się ze swoimi kolegami z racji tej czy innej ogólnopolskiej imprezy? Przykro, ale wije się jak piskorz, by jakoś wyjść z tej opresji.*

*Rozmowy z reguły zaczynają się od piłki nożnej. I cóż tu biedny mieszkaniec polskiego Manchesteru może powiedzieć, czym się pochwalić. Bąka pod nosem, że coś się u nas robi, żeby wzmocnić, żeby poprawić, ale zdradliwy rumieniec krasi mu lica, a słowa zaprzeczają przykremu faktowi -- drugie co do wielkości miasto w Polsce nie ma drużyny piłkarskiej w I lidze.*

*A co z królową sportu lekką atletyką? ŁKS rozstał się z I ligą, mamy co prawda rekordzistę Polski w skoku w dal i kilku niezłych długodystansowców, ale przecież o poziomie lekkiej atletyki nie stanowi 5-osobowy, a wieloosobowy zespół. „Leży" zupełnie koszykówka mężczyzn, przepiękna i atrakcyjna dyscyplina sportu. Emocjonujący żużel w Łodzi stał się sportem weteranów, boks reprezentuje średnią klasę krajową, siatkarze spadli do II ligi, kryzys przechodzi tenis stołowy i ziemny. Bratem tu pod uwagę te najciekawsze dyscypliny sportu, cieszące się największym zainteresowaniem kibiców. Jedynie hokeiści ŁKS przełamali dwuletni kryzys i odgrywają pewną rolę w tegorocznych rozgrywkach ekstraklasy, odnosimy sukcesy w kolarstwie, dobrze spisują się nasze panie — koszykarki ŁKS i siatkarki Startu.*

*Wszystko to jednak mało. Jeżeli obliczymy łódzkie dyscypliny sportowe liczące się poważnie w Polsce, wystarczy nam na to palców jednej ręki. Gdybyśmy jednak pokusili się o wymienienie tych, które się nie liczą, będzie ich o wiele za dużo.*

*Obniżenie się poziomu sportu widać nie tylko w Łodzi, ale i w całej Polsce. A oto kilka cyfr. W ub. roku w 516 spotkaniach międzynarodowych seniorów i juniorów odnieśliśmy 270 zwycięstw, a zawodnicy pobili trzy rekordy świata, trzy Europy i 148 Polski. W 26 mistrzostwach świata z udziałem 186 sportowców naszego kraju zdobyliśmy 13 medali i 98,5 punkta. Jest to mniej niż w roku 1968, kiedy to na podobnych imprezach wywalczyliśmy 19 medali i 136 punktów.*

*Na mistrzostwach Europy startowało 195 zawodników w 16 dyscyplinach. Wywalczyli oni 33 medale i 214 punktów. I tutaj bilans jest ujemny, gdyż odpowiednio w 1968 r. zdobyliśmy 39 medali i 245 punktów.*

*Oceniając indywidualnie poszczególne dyscypliny sportu również można dojść do pesymistycznych wniosków. Piłkarze nie spełnili pokładanych w nich nadziei i nie zakwalifikowali się do finałów mistrzostw świata. Lekkoatleci z drugiego miejsca w Europie spadli na piąte, kolarze przegrali Wyścig Pokoju, bokserzy nie reprezentują już tej klasy co kilka lat temu. Nie neguję tutaj bynajmniej sukcesów koszykarzy, żużlowców, Baszanowskiego, Szurkowskiego czy Andrzejewskiego. Jednak tych zwycięstw jest dużo mniej niż porażek. Tymczasem wiele osób odpowiedzialnych za sport znajduje się w stanie, który nazwałbym samozadowoleniem, jeden sukces przesłania im 10 porażek. Wyraźnie widzimy to w Łodzi, gdzie np. sukcesy organizacyjne zaczynają upajać działaczy bardziej niż sukcesy sportowe. Ciągle nawiązuje się do pięknych tradycji łódzkiego sportu, ale niestety ich się nie kontynuuje.*

*Już tylko dwa lata dzielą nas od olimpiady w Monachium, a przecież chcielibyśmy widzieć w reprezentacji Polski jak najwięcej łodzian. Czy się jednak na to zanosi?*

MIECZYSŁAW STOLARSKI

## *Przeszłość i teraźniejszość*

# O historii współczesności

*„Nie jest łatwo pisać historię współczesności. Brak jeszcze wielu niesłychanie ważnych materiałów. Trudno wytworzyc sobie perspektywę, z której można patrzeć na wypadki i odróżnić wielkie od małych, trudno dotrzeć do najgłębszych sprężyn wypadków, najtrudniej ustrzec się, aby ogień toczących się walk nie osmalił naszego opisu dziejów. Wreszcie warunki polityczne nie pozwalają nie tylko na swobodną ocenę wydarzeń, lecz niejednokrotnie nawet na proste stwierdzenie faktów. A jednak historię tę pisać trzeba, gdyż jest potrzebna."*

*Przypomniałem tu pierwsze zdania z książki Adama Próchnika „Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej" wydanej w 1933 roku, ale w swej pełnej wersji udostępnionej czytelnikowi dopiero w roku 1957. Egzemplarze pierwodruku, w których nie ma białych plam, należą do bibliofilskich rzadkości. Historyk — socjalista zasmakował bowiem warunków politycznych międzywojennej Polski. Jego książka, mimo że pisana niemal na bieżąco, bez jakże pożądanego dla głębszej refleksji dystansu czasowego, jest do dziś jedną z najwybitniejszych i — dodajmy — bardzo nielicznych syntez dziejów politycznych pierwszego piętnastolecia II Rzeczypospolitej.*

*Wbrew pozorom historia najnowsza nie jest bynajmniej tak młodą dziedziną nauki historycznej, jak się to często powiada. Uprawiano ją bodaj w każdej epoce historycznej. Bo cóż innego, jak nie dzieje im współczesne, opisywali Tukidydes czy Tacyt? Chwalca Bolesława Krzywoustego znany dobrze pod imieniem Galla Anonima w swoim zgrabnym utworze opiewał czyny władcy który na polskiej ziemi dał mu nie tylko schronienie ale i coś więcej zapewne niż prosty chleb powszedni. Nikt nie uważał za dziwne że tuż po upadku powstania listopadowego młody Mochnacki ogłosił jego historię; czynili tak przecież i inni. Przekonanie że przeszłość musi się sporo od nas oddalić zanim stanie się godna nauki historycznej jest tworem stosunkowo nowym i liczy sobie najwyżej setkę lat. Ale i wówczas nie wszyscy byli tego zdania. Sam Michał Bobrzyński nie wahał się zostać współpracownikiem książki ogłoszonej na progu naszego wieku, a traktującej o dziejach Galicji w drugiej połowie ubiegłego stulecia, a więc pracy z historii współczesnej.*

*Jeden z wybitnych historyków naszych zwykł mawiać, że historia kończy się na upadku Konstantynopola, dalej zaś zaczyna się publicystyka czy też — jeśli kto woli — propaganda. Ale to tylko zgrabne powiedzonko — sam ma na swym autorskim koncie książki z XIX i XX nawet wieku. Wprowadzony w drugiej połowie XVII stulecia przez Krzysztofa Cellariusza trójdzielny podział dziejów na starożytność, średniowiecze i czasy nowożytne dawno już przestał nam wystarczać. Cóż — przecież wciąż przybywa nam... dziejów. Czy w naszej historycznej świadomości nie odczuwamy też, że dystans pomiędzy pierwszymi krucjatami a np. Grunwaldem zdaje się być mniejszy, niż dystans między wojną chłopską w Niemczech a Rewolucją Październikową? A przecież w obiektywnej chronologii odcinek czasu, jaki upłynął od pierwszych wypraw krzyżowych do wojny grunwaldzkiej jest znacznie, blisko o czwartą część dłuższy niż ten, jaki wyznaczają daty wojny chłopskiej i rewolucji. No tak, ale w tym „nowszym" krótszym okresie czasu o ileż więcej się działo! Rzeczywiście — i dla tego filozofowie historii mówią o „przyspieszeniu czasu w historii".*

*Ponieważ od dawna uświadomiono już sobie, że nie można wzorem Cellariusza obdarzać mianem dziejów nowożytnych wszytkiego, co się działo od... upadku Konstantynopola czy odkrycia Ameryki aż po nasze dni, poczęto dzielić tę „historię nowożytną" na kawałki. Wprowadzono pojęcie historii najnowszej, którym to mianem oznaczono cały okres czasu od Rewolucji Francuskiej. W Niemczech mówiło się więc o „neueste Geschichte", we Francji o „l'histoire contemporaine". Ale minęły I i II wojny światowe i znów wielce przybyło nam dziejów, a więc trzeba było myśleć o nowym pojęciu — o historii współczesnej. Mówi się o niej coraz częściej od lat już kilku dziesięciu: Niemcy zwą ją „Zeitgeschichte", Anglosasi powiadają o „Current History" — historii bieżącej, my po prostu o najnowszej. Istnieje nawet czasopismo o tym tytule. A więc instytucjonalne bariery zostały skruszone. Za to innych nie brakuje — o czym wie każdy historyk dziejów najnowszych.*

*Na warsztat historyków polskich, z wolna, może nawet zbyt powoli wkracza problematyka dziejów Polski Ludowej. Nie jest to tylko winą badaczy — raczej o ich zasłudze trzeba by tu mówić. Skoro polityczne przemiany lat 50-ych umożliwiły podejmowanie badań w tym zakresie, zabrano się do nich z zapałem. Cóż z tego, że rezultaty czasem nas nie zadowalają? Krótki to czas, a trudności przeogromne na każdym etapie pracy, poczynając od gromadzenia materiału, którego są tony, dziesiątki ton, rozproszone i nie uporządkowane najczęściej i trudno dostępne... Tym większej odwagi i zapału potrzeba, aby się w tym zagłębić. I dlatego trudno zbyć ogólnikiem mniejsze i większe prace historyków badających dzieje Polski Ludowej, zgrupowanych w różnych ośrodkach badawczych. Mamy ich także w Łodzi: tu właśnie powstały m. in. pionierskie prace Stefana Baniaka o działalności PUR i wysiedlaniu Niemców z Polski — pierwsze wydane pięknie w... Poznaniu, drugie — nie za grzechy autora ogłoszone powielaczowym niby drukiem w mini-nakładzie, jak przystało na tak kapitalny problem o znaczeniu nie tylko naukowym.*

*„A jednak historię tę pisać trzeba, gdyż jest potrzebna — powiadał Adam Próchnik. — Jest potrzebna mimo wszystkich swych nieuniknionych błędów. Jest potrzebna mimo swych nieuniknionych luk i zniekształceń. Pisze się ją nie rościąc sobie pretensji do osiągnięcia ideału. Przyszły historyk poprawi błędy dzisiejszego historyka. Uzupełni też luki i białe plamy, gdy warunki zmienione na to pozwolą. Zresztą i on będzie miał wielkie trudności, choć innego rodzaju. Tu obraz za bliski, tam zbyt odległy. Ten ocenia wypadki przez pryzmat współczesności, tamten przez szkła zabarwione poglądami i zapatrywaniami swojej epoki."*

JÓZEF GRZELAK

## spektakle tygodnia

| | spektakli | widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| TEATR WIELKI | | | |
| „Lohengrin" | 2 | 2520 | 100 |
| „Jezioro łabędzie", | 1 | 1260 | 100 |
| „Carmen", | 1 | 1021 | 88 |
| NOWY | | | |
| „Życie jest snem" | 3 | 2100 | 100 |
| „Za siedmioma górami", | 3 | 2100 | 100 |
| „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", | 1 | 700 | 100 |
| „Kordian", | 2 | 1400 | 100 |
| NOWY Mała Sala | | | |
| „Księżyc świeci nieszczęśliwym", | 2 | 300 | 75 |
| „Mąż i żona", | 3 | 450 | 75 |
| „Bliski nieznajomy", | 1 | 120 | 60 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Advocatus diaboli", | 2 | 1000 | 90 |
| „Ojcowie rodzą się w szafach", | 2 | 1100 | 93 |
| JARACZA | | | |
| „Pan Jowialski", | 6 | 3588 | 90 |
| 7.15 | | | |
| „Jadzia wdowa", | 2 | 844 | 100 |
| OPERETKA | | | |
| „Skrzydlaty kochanek", | 6 | 4750 | 71 |
| FILHARMONIA | | | |
| 2 koncerty symfoniczne | | 800 słuch. | 60 |

## TP OBIEKTYW

# WITRAŻE

Publicystyka telewizyjna nie zawsze nas zadowala. Częściej nie, niż tak. Za dużo w niej martwych, bezbarwnych referatów wygłaszanych przed kamerami przez przedstawicieli różnych instytucji, za mało życia schwytanego in flagranti. Dlatego każdą próbę wyłamania się ze schematu witamy z zadowoleniem.

Do takich prób należy zaliczyć z pewnością telewizyjny reportaż filmowy Jerzego Szotkowskiego i Wojciecha Jankowskiego pt. „Akcja witraże", nadany w godzinach wieczornych w dniu 19 stycznia. Aż dziw bierze, że dla programu tego wybrano porę, kiedy duża część telewidzów już wyłącza swoje odbiorniki.

Przed paru miesiącami ukazały się w prasie wiadomości o odkryciu dokonanym przez reporterów telewizji. W poszukiwaniu bezcennych witraży gotyckich, które w 1945 roku zniknęły z kościoła w Malborku, trafili oni na ślad innych, wczesnorenesansowych, lecz również wielkiej wartości witraży, które stały się przedmiotem spekulacji i postawiły w dwuznacznym świetle „działalność" kierownika sklepu „Desy" we Wrocławiu. Kto wie, czy rajd reporterów telewizyjnych nie uratował tych witraży dla kultury narodowej. Paru kwater jednak brakuje. Może wywędrowały nielegalnie za granicę.

Rajd był istotnie przeprowadzony z rozmachem. Samochody przerzucały realizatorów filmu z jednego krańca Polski w drugi. Szybki przerzut z miejsca na miejsce, zaskoczenie — to były nieodzowne warunki, by akcja zakończyła się sukcesem. Nieoczekiwane konfrontacje stanowiły sposób, w jaki reporterzy docierali do prawdy, nawet tej, którą rozmówcy chcieliby za wszelką cenę ukryć. Może gdyby delikwentom pozostawiono czas na zastanowienie się, na porozumienie między sobą, na uzgodnienie stanowisk, powstałaby nowa wykrętna bajeczka posiadająca wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

Ale tego czasu do namysłu nie dano. Przed drzwiami sklepu „Desy" reporterzy przygotowali na ulicy sprzęt, włożyli do kamer świeże kasety z taśmą filmową, wypróbowali przenośne magnetofony, reflektory, flesze do aparatów fotograficznych. Po wejściu do sklepu cały sprzęt w jednej chwili wprowadzony zostaje do akcji. Kierownik sklepu z trudem dobiera słów, kamery rejestrują każde drgnienie jego twarzy, magnetofony — każdą wypowiedź. Dochodzenie prawdy trwa, dokonuje się na oczach milionów telewidzów, którzy — wprawdzie po upływie czasu niezbędnego na zmontowanie i przygotowanie materiału — uczestniczą przecież we wszystkim...

O, dziwo! Tyle razy oglądamy różnych dyrektorów i prezesów stękających i jąkających się przed kamerami, rozpaczliwie zerkających do zbawczej kartki z notatkami. A w filmie Szotkowskiego i Jankowskiego — nic z tych rzeczy! Bohaterowie reportażu zbyt są zajęci sobą, zbyt podnieceni treścią pytań, by zwracać uwagę na to, jak będą wyglądać na ekranie. Są naturalni, tacy, jacy są ludzie w życiu, a sytuacje zarejestrowane na taśmie filmowej pozbawione wszelkiej sztuczności.

I oto znajdujemy się na tropie dobrej roboty dziennikarskiej w telewizji. Przypomina się znakomity duet reporterski telewizji NRD: Heywowsky i Scheumann („Uśmiechnięty człowiek" — o Kongo-Muellerze, „Jasnowidząca z Bonn", — o Bucheli, „Piloci w piżamach" — o Amerykanach w niewoli północnowietnamskiej). Jak widać, Szotkowski i Jankowski nawiązują do znakomitego wzoru. Efekt jest podwójny: poruszenie sprawy istotnej dla społeczeństwa i uczynienie tego w sposób atrakcyjny, angażujący widza.

Reportaż filmowy „Akcja witraże" zakończyli realizatorzy zapowiedzią, że nie ustaną w dalszych poszukiwaniach bezcennych dzieł sztuki, i apelem do telewidzów o pomoc w formie nadsyłania informacji. Ta zapowiedź budzi odczucia optymistyczne. Dobre dziennikarstwo telewizyjne nie ukazało się na naszych ekranach w drodze wyjątku. Zamierza zadomowić się na nich trwale.

Oby tak się stało!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Po dwuseryjnym filmie Jerzego Passendorfera „Kierunek Berlin" i „Ostatnie dni" wchodzi na nasze ekrany nowy film będący wielką epiką wojenną. Reżyserami „CZERWONEJ JARZĘBINY" są Ewa i Czesław Petelscy, autorzy w których twórczości znajdujemy już trzy filmy o tematyce wojennej: „Naganiacz", „Don Gabriel" i „Ogniomistrz Kaleń". Ten ostatni film był przed kilku laty dużym sukcesem, zyskał wysokie noty w opiniach krytyki i publiczności. Przystępując zatem do realizacji „Czerwonej Jarzębiny", dysponowali Petelscy doświadczeniem, które okazało się tak istotne w tworzeniu tej zakrojonej na wielką skalę wojennej opowieści.

„Czerwona jarzębina" przedstawia dzieje najkrwawszej obok walk o Monte Cassino bitwy żołnierzy polskich w czasach II wojny światowej. Film przedstawia walkę o zdobycie Kołobrzegu. Bitwa kołobrzeska i zdobycie miasta było niemal w całości dziełem polskich żołnierzy. Obraz walki, bohaterstwo walczących i wysoka cena, jaką za zwycięstwo zapłacono — to tematy tego filmu.

Bohaterami — „Czerwonej jarzębiny" są oficerowie i szeregowcy kompanii o kryptonimie „Jarzębina", która po zdobyciu Wału Pomorskiego kierując się ku morzu, walczy z rozproszonymi, ale bardzo jeszcze aktywnymi oddziałami armii hitlerowskiej. Zdobycie Kołobrzegu ufortyfikowanego przez Niemców na twierdzę stanowi cel tej drogi. Strategiczne znaczenie miasta zadecydowało o wkładzie obu walczących stron w tę jedną z najkrwawszych bitew II wojny. Twórcy filmu bardzo mocno akcentują owo historyczne znaczenie kołobrzeskiej batalii.

W trakcie oglądania „Czerwonej jarzębiny" nieodparcie nasuwa się potrzeba porównania jej z filmami Passendorfera. Wynik porównań wypada na korzyść realizacji Petelskich. Poszukiwania formuły filmowej epiki wojennej są ciągle jeszcze sprawą otwartą. Petelscy, również nie osiągnąwszy pełnego sukcesu, zdołali jednakże dokonać tego, co nie udało się przedsięwzięciu Passendorfera. Ich film będąc artystycznym reportażem z wielkiej bitwy, osiąga chwilami niemal rangę dokumentu. „Czerwona jarzębina" przynosi obrazy, w których miejscami nie czuje się inscenizacji. Ich dramatyzm jest absolutnie niemal autentyczny, pozbawiono obrazy gładkości, która raziła na przykład w „Ostatnich dniach".

W oczach widza na długo pozostaną te kadry filmu, w których ponadludzki wysiłek żołnierza, jego działanie bohaterskie, a czasami desperackie, jego momenty zwątpień i lęku, zostały odtworzone z pełną, tragiczną w tonacji ekspresją. W pamięci pozostają sylwetki ludzkie wtopione niemal w ziemię i błoto, zagrożone w każdej sekundzie w swym istnieniu.

W tych na wpół dokumentalnych fragmentach filmu, w odtwarzaniu sensu strategicznego, ale także moralnego i emocjonalnego kołobrzeskiej bitwy, Petelscy zaprezentowali realizatorskie mistrzostwo.

Gorzej dzieje się wówczas, gdy wybrawszy z tej wielkiej gromady ludzkiej indywidualnych bohaterów starają się przybliżyć widzowi świat ich wewnętrznych przeżyć. Ci sami, autentyczni w wojennym działaniu bohaterowie, w zaprogramowanych przez scenariusz sytuacjach indywidualnych, bardziej kameralnych, tracą wiele ze swej prawdziwości.

Powtarzają się wówczas pewne schematy sytuacyjne i psychologiczne. Dialogi zaś są najsłabszą stroną filmu Petelskich, ich pseudożołnierski fason musi razić chyba każde ucho. Nie wydaje się, by „Frontowe drogi" W. Kotowicza, książka, na motywach której zrealizowano ten film, była najlepszym wzorcem artystycznej prawdy o żołnierskim losie. W „Czerwonej jarzębinie" twórcy odnoszą sukces tam, gdzie film bierze górę nad złą literaturą.

Choć w filmie Petelskich mamy do czynienia z bohaterem zbiorowym, warto odnotować dwie interesujące role aktorskie — na ogół przekonywającego Andrzeja Kopiczyńskiego (jakże innego niż w filmie „Czekam w Monte Carlo") i Andrzeja Łapickiego, który grając trochę wbrew sobie, a może właśnie dlatego, w epizodzie zawadiackiego oficera artylerii stworzył jedyną ciekawie psychologicznie pomyślaną postać w tym filmie.

„Czerwona jarzębina" przy tych wszystkich wyżej zgłoszonych zastrzeżeniach stanowi niewątpliwie dobrą propozycję tego gatunku filmowego, który w polskim wydaniu wyróżnia się głębokim zaangażowaniem emocjonalnym twórców, podejmujących próbę rekonstrukcji historycznej rzeczywistości w imię pamięci narodowej i patriotyzmu.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### LISTY APOLLINAIRE'A DO LOU

„Nareszcie zostaną opublikowane listy Apollinaire'a do Lou" — czytamy w jednym z ostatnich numerów paryskiego tygodnika „Le Figaro Litteraire".

Publikacji tej oczekiwano od dawna. Jeszcze pięt naście lat temu Pierre Cailler przygotował do wydania, w formie facsimile 200 listów Apollinaire'a w większości nieznanych. W ostatniej jednak chwili zrezygnowano z tego wydania ze względu na bardzo intymny charakter rękopisów poety. Publikacja ograniczyła się jedynie do kilku egzemplarzy. Obecnie cały ten komplet listów Apollinaire'a ukaże się w paryskim wydawnictwie Gallimarda.

Kim była piękna Lou, do której zakochany Apollinaire pisywał sążniste, pełne uczucia, intymnych wyznań, poetyckie epistoły? W roku 1914 w sierpniu Apollinaire zgłosił się na ochotnika do wojska, wobec jednak groźby zajęcia Paryża przez Niemców przenosi się do Nicei. Tu, oczekując na odpowiedź z armii, poznaje trzydziestotrzyletnią, świeżo rozwiedzioną Luizę de Coligny-Chatillon, którą nazywać będzie — Lou.

Kobieta ta kapryśna i zalotna, to przyjmuje awanse zakochanego w niej poety, to znów nieoczekiwanie je odrzuca. Gdy wreszcie Apollinaire zdaje się być pewny sukcesu, Lou odtrąca jego uczucia. Zmęczony tym poeta przyśpiesza swe starania o przyjęcie do wojska i w dniu 25 grudnia dostaje się do artylerii z przydziałem do jednostki stacjonującej w Nimes. Lou, która przez ostatnie dwa miesiące była niezdobyta zjawia się teraz w Nimes i pozostaje tu z poetą przez tydzień. Nie ma jednak zamiaru na stałe wiązać się z Apollinaire'm i powraca do Nicei, choć między kochankami nie dochodzi do otwartego zerwania. W nowy Rok (1915) poeta odwiedza Lou w Nicei, gdzie spędza dwudniowy urlop. W drodze powrotnej do swej jednostki wojskowej, w pociągu, poznaje młodą Francuskę z Algierii, Magdalenę Pages, z którą w kilka miesięcy później zawrze listownie narzeczeństwo. Tymczasem w dniu 28 marca znowu spotyka się z Lou w Marsylii. Jest to już ich ostatnie spotkanie. I tym razem jednak nie dochodzi do zerwania. Apollinaire koresponduje zarówno z Lou jak i Magdaleną. Dopiero z końcem kwietnia 1915 roku urywa się korespondencja poety z Lou. Tym razem definitywnie. „Le Figaro Litteraire" publikuje jeden z nieznanych listów poety do Lou pisany w Nimes 31 marca 1915 roku. Już choćby z tego możemy się przekonać jak cenna jest publikacja korespondencji Apollinaire'a dla jego biografów, badaczy i miłośników twórczości wielkiego poety.

### „MALARSTWO AMERYKAŃSKIE NIE ISTNIEJE"

— pod takim tytułem paryski tygodnik „l'Express" omawia trzy książki na te-

*Lichtenstein: „Okay, hot-shot, okay"*

mat sztuki plastycznej w Ameryce, jakie ostatnio ukazały się we Francji. Są to: „Malarstwo amerykańskie od okresu kolonialnego do naszych dni" Julesa Davida Prowna i Barbary Rose, tejże ostatniej „Sztuka amerykańska od 1900" i „Dzieło sztuki i jego cechy" Erwina Panofsky'ego.

Kiedy słynny malarz francuski Marcel Duchamp

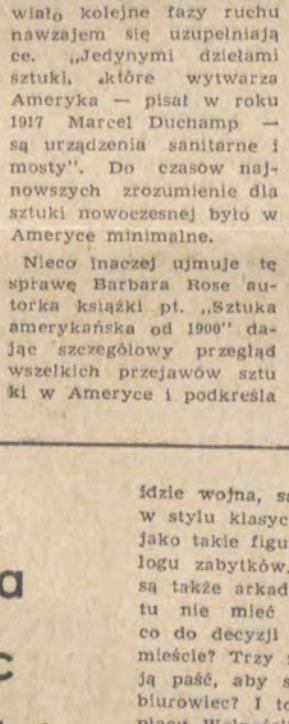

*Grant Wood: „Amerykański gotyk"*

— pisze recenzent — wystawił w roku 1913 w Nowym Jorku swój typowo kubistyczny obraz „Naga schodząca po schodach" wywołało to wśród amerykańskich widzów zdumienie, a jedno z pism poświęconych sztuce ogłosiło konkurs na odnalezienie w tym obrazie postaci nagiej kobiety. Nie rozumiano bowiem, że płótno przedstawiało kolejne fazy ruchu nawzajem się uzupełniające. „Jedynymi dziełami sztuki, które wytwarza Ameryka — pisał w roku 1917 Marcel Duchamp — są urządzenia sanitarne i mosty". Do czasów najnowszych zrozumienie dla sztuki nowoczesnej było w Ameryce minimalne.

Nieco inaczej ujmuje tę sprawę Barbara Rose autorka książki pt. „Sztuka amerykańska od 1900" dając szczegółowy przegląd wszelkich przejawów sztuki w Ameryce i podkreśla jąc do dziś zaznaczający się problem użytkowości tej sztuki. I tak np. autorka stwierdza, że w roku 1943 trzy tysiące sześciuset artystów brało udział w wykonaniu 16 tysięcy dekoracji ściennych w ponad tysiącu miast amerykańskich. Wśród artystów tych znajdowali się Pollock i Kooning, malarze, których obrazy, spośród dziś żyjących twórców, wyceniane są najwyżej.

### NUDA W LITERATURZE FRANCUSKIEJ

Guy Sagnes napisał pracę doktorską na dość niezwykły temat. Tytułem rozprawy jest „Nuda w literaturze francuskiej od Flauberta do Laforgue". Pracę tę omawia króciutko w „Le Figaro Litteraire" Andre Billy. Temat nudy w literaturze jest obszerny i zdaniem recenzenta autor pracy wywiązał się znakomicie ze swego zadania, choć sam termin „nuda" nie jest pojęciem jednoznacznym i może obejmować także pojęcie melancholii czy stanu jaki Anglicy określają słowem „spleen".

Bardzo się nudzono we Francji — pisze Billy — i prawdopodobnie wszędzie w dziewiętnastym stuleciu. W wieku auta, kina, radia, telewizji, sportu, wojny i rewolucji — nie nudzimy się. Ludzie mego wieku — pisze Billy — znali jeszcze nudę: długie wieczory przy lampie, wojskowe orkiestry w niedzielę, nie kończące się posiłki w gronie rodzinnym itd. Czy w literaturze nuda znalazła swoje odzwierciedlenie? Jeśli wierzyć pracy Guya Sagnes, nuda, melancholia były ulubionymi tematami literackimi. Nuda znikła teraz z życia i jako temat literacki. Który ze współczesnych nam poetów mógłby nas wzruszyć pisząc o tym, że się nudzi? Ludzie się nudzili, lecz życie literackie kwitło. Dziś odwrotnie — twierdzi Andre Billy. — Ludzie mają szereg rozrywek i atrakcji, dlatego literatura nie jest im potrzebna dla skracania dłużących się godzin. Sama zaś literatura pogrąża się w marazmie — kończy recenzent, ze zbytnim chyba pesymizmem, omówienie książki o nudzie.

### ILUSTRACJE DO „BOSKIEJ KOMEDII"

W 1959 roku włoskie wydawnictwo „Mondadori" postanowiło wydać „Boską komedię" Dantego bogato ilustrowaną. Zamówienie na wykonanie rysunków otrzymał Renato Gut-

*Renato Guttuso: Ilustracja do „Boskiej komedii" Dantego „Czyściec", pieśń VIII*

tuso. Artysta pracował nad nimi przez dwa lata. Choć ilustracji miało być tylko 100 Guttuso sporządził tak wiele szkiców i rysunków, że zapełniły one około tysiąca kart. Z tego zaledwie część wyselekcjonował do publikacji. Książka nie została jednak wydana, gdyż wydawnictwo zmieniło swój zamiar. Prace natomiast Renato Guttuso zostały pokazane w zeszłym roku w Rzymie na zorganizowanej w tym celu wystawie. Prace Guttuso spotkały się z tak wielkim uznaniem, że wydawnictwo „Mondadori" postanowiło je opublikować w formie specjalnego albumu z fragmentami „Boskiej komedii" przy każdym z rysunków.

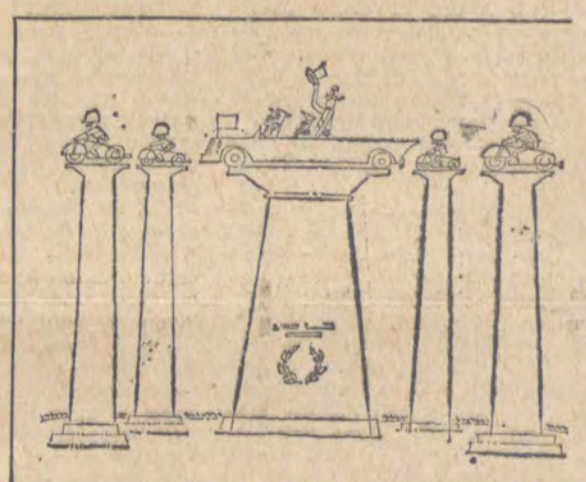

## od niedzieli do niedzieli

# Batalia o plac Wolności

WALKA O KSZTAŁT HISTORII — BIUROWIEC CZY ZABYTEK? — WIZJA ZE ZŁEGO SNU — BUDOWLANA „PLOMBA" — CZEGO PRAGNĄ ŁODZIANIE? — Z CZYM SIĘ LICZYĆ?

Leży przede mną odpis parostronicowego pisma do Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków w Warszawie. Pismo ostemplowane jest na wszystkie strony pieczątkami: „Komitet Domowy bloku nr 5 — pl. Wolności nr 9" — „Komitet Domowy — pl. Wolności nr 10" — „Komitet Domowy — pl. Wolności nr 2" — „Komitet Domowy — pl. Wolności nr 6"... I tak dalej, i tak dalej... O cóż to walczą mieszkańcy placu Wolności? W jakiej sprawie łodzianie szukają poparcia, zrozumienia i sprawiedliwości aż w Warszawie? Czy chodzi o sieć wodociągową, o przedłużający się remont, o te wszystkie drobne, codzienne sprawy?

Otóż nie! Starzy łodzianie z placu Wolności walczą o pryncypia, o kształt Historii, o czułą pamięć przeszłości swojego miasta. Walczą o zachowanie w niezmienionej postaci zabytkowego placu Wolności.

Nie jestem ani architektem, ani historykiem sztuki — nie mnie wymierzać autorytatywne racje odnośnie przebudowy miasta, ale... Właśnie! Jako dziennikarz piszący o sprawach Łodzi mam po prostu pewne wątpliwości, mam pewne „ale"... Czytajmy zresztą: „Wydział Kwaterunkowy DRN-Śródmieście powiadomił nas — piszą mieszkańcy placu Wolności — że całe posesje nr 10 i 11 mają być wyburzone, aby powiększyć podwórze posesji sąsiedniej, na której będzie zbudowany biurowiec na miejscu zabytkowych arkad z 1830 roku".

Oba budynki, o które idzie wojna, są zabytkami w stylu klasycystycznym i jako takie figurują w katalogu zabytków. Zabytkiem są także arkady. Więc jak tu nie mieć wątpliwości co do decyzji DRN-Śródmieście? Trzy zabytki mają paść, aby stanął jeden biurowiec? I to akurat na placu Wolności? Akurat w zespole architektonicznym, którego poszczególne „cegiełki", jeśli nawet nie reprezentują zabytków najwyższej klasy — to przecież w całości stanowią zespół jakąś niewzruszoną wartość historyczną i emocjonalną.

Jak ze złego snu jawi mi się wizja nowego placu Wolności, zabudowanego wieżowcami — z zachowanym tylko ratuszem. Nie wiem, czy ostała się reklamowana kiedyś — koncepcja wysokościowej „plomby" na rogu placu i Obrońców Stalingradu. Jeśli tak — to będzie to również bardzo zły sen. Niestety na jawie...

Czytajmy jednak dalej: „Pragniemy, aby plac Wolności był zrekonstruowany według planów prof. F. Kędzierskiego, który już jeden budynek na tym placu zrekonstruował (chodzi o dom rogowy, gdzie mieści się „Sim"). Profesor Kędzierski i inż. Karski już przed laty zaprojektowali rekonstrukcję placu Wolności, przewidując obniżenie do dwu kondygnacji niektórych pozostałych budynków, a szczególnie „zdjęcie" nadbudowanego w okresie międzywojennym trzeciego piętra z domu nr 14, który nie harmonizuje z otoczeniem.

Pragniemy, aby ulica Obrońców Stalingradu rozpoczynała się jak dawniej po obu stronach jednakowymi budynkami z podcieniami, podobnie jak zrekonstruowany „Sim", jak ulica Nowotki..."

Pragniemy — piszą łodzianie z placu Wolności — i jest to pragnienie szczere i bezinteresowne, zrodzone z miłości do tego miasta, z troski o zachowanie kształtu i charakteru zabytkowego fragmentu Łodzi. Na Warszawy stołeczne piętra śią łodzianie prośbę i prośba ta brzmi wzruszająco: „prosimy najuprzejmiej o ochronę naszego Nowego Miasta z Nowym Rynkiem a obecnym placem Wolności, jako sercem Łodzi z jego zabudowaniami, z jego ośmiobocznym kształtem, z tym wszystkim, co jest zabytkiem i pamiątką..."

Prośby i apele podobnej treści otrzymały także władze miasta i dzielnicy oraz Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Czyli walka o kształt placu Wolności prowadzona jest na wszystkich frontach. Myślę, że słusznie podjęto tę kampanię i myślę, że uwieńczona będzie ona powodzeniem. Rozumiem, rzecz prosta, że życie ma swoje prawa, że pewne drastyczne posunięcia uwarunkowane są potrzebami rozwoju miasta. Oczywiste, że nie możemy żyć w skansenie, choćby najpiękniejszym, wyzwalającym nasze najczulsze sentymenty. Nie grozi nam to zresztą. Zabytków w Łodzi nie ma tak wiele, aby groziła nam perspektywa zamienienia śródmieścia w skansen. I właśnie dlatego nie potrafię zrozumieć, dlaczego Łódzki Związek Spółdzielni Pracy ma mieć swój biurowiec kosztem zabytków placu Wolności.

Zabytkowy łódzki plac nie ma zresztą szczęścia do urbanistów. Już po pierwszej wojnie światowej próbowano go przebudować, bo... nie miał charakteru wielkomiejskiego. Ludzie kochani! A kto powiedział, że zeszłowieczny Nowy Rynek, architektoniczny pomnik rodzącej się Łodzi przemysłowej, musi mieć charakter wielkomiejski? Wystarczy mu całkowicie charakter jaki ukształtowały w nim minione dziesiątki lat. Nie „plombujmy" go na siłę wieżowcami! Nie burzmy starych kamienic, nie niszczmy zabytków! Takie jest zdanie felietonisty, z którym oczywiście nikt się nie musi liczyć. Ale te setki podpisów zebranych w tej sprawie przez łodzian? Myślę, że z nimi liczyć się trzeba. Trzeba się liczyć także z Historią, Tradycją i Zdrowym Rozsądkiem.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## KONCEPCJA CZŁOWIEKA

Koncepcja człowieka, posiadana, żywiona przez człowieka... Koncepcja dziecka, chłopczyka, dziewczynki, młodzieńca, dziewczyny, mężczyzny, kobiety, starca, staruszki — żywiona, posiadana przez np. Jana. Jan jest mężczyzną — na lat czterdzieści — czy Jan ma koncepcję człowieka? Jan spotyka się i pamięta konkretnych ludzi... Jan ma na pewno koncepcję starca, wie czego po starcu oczekiwać, starzec drzemie, starzec pamięta daleką przeszłość, zapomina o sprawach przeżytych przed tygodniem, zapewne są źli starcy i dobrzy starcy, starcy ciemni i oświeceni. Zawsze jednak są źli i dobrzy, ciemni i oświeceni na swój starczy sposób.

Tak sprawy wyglądają ze staruszkami i z młodzieńcami i z dziewczętami, oni zawsze są dobrzy i źli, oświeceni i ciemni na swój młodzieńczy, czy dziewczęcy sposób, a dzieci na swój sposób dziecięcy... Co ma począć Jan jeżeli umyślił być czynny i dobry w imię humanizmu, w imię uznania wartości człowieka i wiary w świat wokółludzki, człowiekowi dostępny i użyteczny. Wiesz przecież Janie, jak wielka jest różnica między niemowlęciem, a młodzieńcem (starzec powoli upodabnia się do niemowlęcia) — dobrze zrobisz dla niemowlęcia, jeżeli owiniesz je w pieluszki i podasz smoczek, kiedy jednak spotkasz młodzieńca nie owijaj go w pieluszki i nie podawaj mu smoczka, to dla niego zbyteczne. Dobrze zrobisz, jeżeli przeprowadzisz zgrzybiałą staruszkę przez pełną rozpędzonych samochodów jezdnię, jeżeli jednak spotkasz atletycznego mężczyznę nie przeprowadzaj go przez jezdnię, byłoby to niepotrzebne a nawet ryzykowne. Jan jednak jest humanistą, dysponuje uniwersalistyczną koncepcją człowieka, a dobro dla niego jest kategorycznym, ponaddyskusyjnym imperatywem, a nie sprawą faktycznych, szczegółowych zabiegów.

Otóż, jeżeli istnieje ogólne, powszechne dobro, istnieć musi powszechny człowiek, powszechna prawdziwa koncepcja człowieka. Powiedzą nam, że życzliwość dobra dla wszystkich ludzi, ale życzliwość także dla zwierząt i roślin — pamiętaj Janie karmić i niekiedy pogłaskać psa, pamiętaj opryskać więdnący kwiatek wodą. Powiedzą nam, że znajomość ludzi u człowieka czynnego dobra dla nich wszystkich, ale znajomość psów służy psom, wiedza kompetentna o kwiatach służy kwiatom. Jan wiele razy myślał o ludziach, bliski był sformułowania własnej, prawdziwej koncepcji człowieka, po niewielu dniach zapominał o dokonanych już sprecyzowanych niemal koncepcjach, a właśnie istotna cecha koncepcji człowieka, nieodzowna dla realizacji specyficznie ludzkiego dobra, zasadza się na pamięci. „Pamiętaj o mnie" — żegnają się zakochani, „O, nie zapomnij mnie..." — śpiewa tenor i ta pieśń jest osobliwie, natrętnie ludzka. Ludziom należy się pamięć, ludziom żywym i zmarłym — zmarłym kwiatom nie jesteśmy winni pamięci. Gdy przystąpiliśmy do precyzowania koncepcji człowieka — jako pierwszą cechę zakładajmy: „Człowiek to ktoś, kto winien być pamiętany".

BERNARD SZTAJNERT

RAYMOND G. BANKS

# Dwudziestu przyjaciół Williama Shaw

Nieczęsto zdarzają mi się odwiedziny kamerdynera, a jeszcze rzadziej z upominkiem — wiklinowym koszykiem, takim, jakie bierze się na piknik.

Przyjąłem Higgingsa grzecznie, ponieważ służył u Williama Shaw, mojego najbliższego przyjaciela, wobec którego miałem poważny dług wdzięczności. Kilka lat temu Shaw wyratował mnie z bardzo ciężkiej opresji.

Higgings był ceremonialnie uprzejmy, przekazał mi najpierw serdeczne pozdrowienia od swego pana, a następnie usiadł w fotelu.

Otworzyłem jedną z butelek najlepszego wina, aby wychylić toast na cześć starego przyjaciela Williama Shaw.

— Proszę mi powiedzieć co u was słychać — zwróciłem się do kamerdynera. — Już dawno nie widziałem pana Shaw. Myślę, że od czasu...

— Od czasu, gdy wstąpił w związki małżeńskie — wyjaśnił spokojnie Higgings.

Podziwiałem zawsze jego stanowczy wyraz twarzy i nieskazitelny sposób mówienia. Wierzyłem, że taki typ kamerdynera potrafi wybrnąć z każdej sytuacji z uśmiechem i najodpowiedniejszym gestem.

Teraz jego twarz przybrała surową powagę człowieka, który przyszedł do mnie z wyraźnie określonym niełatwym zadaniem.

— Od kiedy się ożenił — powtórzył z naciskiem.

— Pani Grace Shaw jest raczej... Chciałem powiedzieć, że po ślubie jej obecność w pałacu peszyła starych przyjaciół Williama — stwierdziłem.

— Pan Shaw ma niewiele słabych stron, lecz najsłabszą była jego żona. Człowiek już starszy, ożenił się z kobietą dużo od siebie młodszą... Szczególnie te ostatnie lata były bardzo trudne dla niego!

Mówiąc to Higgings odsunął delikatnie wiklinowy koszyk zbliżając go ku mnie swym spiczastym, staroświeckim butem.

— Właśnie z powodu chęci pomagania bliźnim pan Shaw znalazł się w krytycznej sytuacji. A jego żona lubi drogocenne klejnoty. W rezultacie niewiele pozostało z olbrzymich niegdyś posiadłości. Lecz rozwód jest nie do pomyślenia, bo pani Shaw zażądałaby lwiej części majątku.

Przypomniałem sobie ostatnią wizytę złożoną Williamowi. Na szyi Grace iskrzyła się brylantowa kolia, którą właścicielka pieściła białą dłonią.

— Tak, rozwód jest nie do pomyślenia — powtórzyłem, nieświadomie naśladując nieskazitelną angielszczyznę Higgingsa. Trudno było nie ulec wpływowi jego sugestywnego głosu.

— Opuścić zaś żonę i zniknąć z otoczenia — ciągnął dalej Higgings — to sposób, który wywołałby jak najgorsze wrażenie w towarzystwie. I co gorsze — pan Shaw byłby odizolowany od swych wszystkich przyjaciół. A przecież można powiedzieć, że nasz pan żyje dla nich, że kocha ich ponad wszystko.

— To prawda, przeżyliśmy razem czasy niezwykle piękne — potwierdziłem. — Przed jego małżeństwem z Grace, naturalnie.

Przyłapałem się na tym, że wymawiając to imię, skierowałem wzrok na koszyk, któremu przyglądałem się z rosnącym zaniepokojeniem. Nagle poczułem się nieswojo.

Napełniłem znów kieliszki. Gdy Higgings uniósł bladymi palcami swój kieliszek ku światłu, wino rzuciło refleksy krwistej czerwieni. Okno było otwarte, z ogrodu szedł zapach wilgotnej ziemi.

— Ma pan naprawdę ładny dom — stwierdził Higgings, rozglądając się wokoło. — Dobrze się pan urządził, pan Shaw będzie szczęśliwy, gdy mu o tym powiem.

— Nie zawsze tak było. Pewnego dnia chciałem popełnić samobójstwo, gdyż groziła mi ruina. Byłem wówczas bez rodziny i przyjaciół, chory i pozbawiony środków utrzymania. Zrozpaczony poszedłem na wzgórza Hollywood tam, gdzie jest tablica wskazująca drogę do miasta. Wie pan, kto chce z sobą skończyć, idzie na to wzgórze.

— Ale tam spotkał pan pana Shaw — przypomniał Higgings uśmiechając się.

— Tak. Od razu wyczułem w nim coś — co wzbudziło moje zaufanie. Opowiedziałem mu wszystko. Mimo, że byłem dla niego obcy, natychmiast postarał się, aby mnie postawić na nogi. Poświęcił mi czas i pieniądze. Tego mu nigdy nie zapomnę!

— Na pewno będzie pan o nim pamiętał przez całe życie — potwierdził Higgings. — Pan Shaw ma co najmniej dwudziestu takich przyjaciół, jak pan. Ludzi, którzy znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji, gdy ich poznał.

To mówiąc kamerdyner odsunął koszyk dalej od siebie i przysunął go do mnie. Uśmiech jego stał się cieplejszy, prawie serdeczny.

— Zawsze miałem nadzieję, że mu się kiedyś odwdzięczę — rzekłem.

— Pan Shaw nigdy nie myśli o wdzięczności, gdy komuś pomaga — powiedział. — A jednak byłoby teraz coś, co mógłby pan zrobić dla niego. Znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Dla pana to drobnostka, prawie nic.

Jeśli tylko mogę... — przerwałem widząc, że uśmiech znika z twarzy Higgingsa.

— Niestety człowiek, który zawsze poświęcał się dla bliźnich, mógłby teraz stanąć przed sądem, grozi mu śmierć — oznajmił Higgings tajemniczo i spojrzał na wiklinowy koszyk. Potem dodał: — Wszelako jest prawdopodobne, że zniknięcie Grace nie wzbudzi większych komentarzy w jej środowisku. Wiemy wszyscy, że już uciekała z domu nie raz, najpierw z marynarzem do San Diego, później z szoferem.

— Tak, miała swoje wady — dorzuciłem na pozór spokojnie.

Kamerdyner wzruszył ramionami. — Lecz tym razem kto wie? Może to jest rzeźnik, piekarz lub fabrykant świec? Fakt tem jest, że znów zniknęła, a pan Shaw odmłodniał o dwadzieścia lat, porusza się dziarsko, jak by mu ktoś zdjął ciężar z ramion. Sprawa jest prosta, chociaż komplikuje ją wścibski brat pani Grace.

Higgings skończył swoje wino i podniósł się, aby odejść. Dodał jeszcze: — Najlepsi i najbardziej przywiązani przyjaciele pana Shaw właśnie mu pomagają. Jest ich około dwudziestu. To ci, którzy doznali od niego największych dobrodziejstw. Jestem pewny, że możemy liczyć także na pana.

— Ja, ja... wyjąkałem przerażony.

Lecz Higgings już złożył głęboki ukłon i skierował się ku drzwiom. — Ja bym pośpieszył się, gdybym był na pana miejscu — ostrzegł mnie uprzejmie. — Temperatura jest dość wysoka i lód długo nie wytrzyma. Do widzenia, panie Benson. Pan Shaw urządzi niedługo jedno ze swych zebrań przyjaciół jak w dawnych, dobrych czasach. Coś w rodzaju rocznicy. I pan z żoną będziecie mile widziani.

Odprowadziłem go do bramy poprzez kolumnadę. Próbowałem protestować: — Ależ ja nie mam żadnego doświadczenia w takich sprawach, nie wiem co robić!

Higgings był niewzruszony. — Jeden z przyjaciół, pan Goodlace wyjechał łodzią na połów ryb. Pan Allan Drayton urządza podwórze z cegieł. Pani Eileen Wilson przypomniała sobie, że musi zasadzić róże w ogrodzie, wysokopienne, dla których trzeba głęboko kopać, bo mają długie korzenie. Człowiek potrafi wiele wymyślić.

Pożegnił się ze mną, mówiąc — Pan nie Benson, niech pan na siebie uważa. Wydaje mi się, że jest pan zbyt blady. Dobrze byłoby, gdyby się pan trochę położył i odpoczął. Pan Shaw zawsze cenił pana jako jednego ze swych najlepszych przyjaciół. To mówiąc wsiadł do samochodu i odjechał.

Nie miałem żadnego doświadczenia w pracach ogrodniczych. Ale moja rodzina o tej porze znajdowała się poza domem i należało to wykorzystać. Było południe pełne słońca. Zostawiłem koszyk Higgingsa w garażu i wyszedłem do ogrodu z narzędziami. Wyszukałem teren niezbyt twardy, w pobliżu grządki hiacyntów.

Wkrótce zorientowałem się, że ktoś stoi przy moim boku.

— Co pan robi? — zapytał Danny, mały sąsiad, obserwując mnie z zainteresowaniem.

Przyszło mi do głowy wiele odpowiedzi, lecz wybrałem najprostszą. — Kopię, jak widzisz.

— Co pan kopie? — nalegał synek sąsiadów. Był to najbardziej wścibski chłopak z sąsiedztwa.

— Kopię dziurę — odpowiedziałem. Pot mi zaczął ściekać z twarzy, chociaż dopiero zacząłem pracować.

Chłopiec nie ustępował. Wreszcie mu wyjaśniłem, że chcę zasadzić krzak róż.

— Moja mama nigdy nie sadzi róż tak głęboko — upierał się Danny.

— Może masz rację — rzekłem. Musiałem porzucić swój projekt. Mając w sąsiedztwie czterdziestu źle wychowanych chłopaków postępowałem chyba nieroztropnie.

Zresztą — nie miałem już wiele czasu, żona wracała o godzinie 16, a syn o 17.

Przyszła mi do głowy inna myśl. Postanowiłem wywieźć koszyk do składu odpadków wraz z nagromadzonymi w szopie gratami. Taki skład znajdował się w pobliżu mojego domu. Był to obszerny teren, z licznymi dołami, które systematycznie wypełniano śmieciami i złomem. W przyszłości miała tu stanąć kolonia tanich domków. Teren był ogrodzony żelazną siatką. Pilnował go strażnik, który obsługiwał klientów. Podczas, gdy auta ciężarowe wyrzucały swą zawartość do dołów, buldożer miażdżył wszystko natychmiast mieszając z ziemią.

**Dokończenie nastąpi**

## *Lewym okiem*

*SWL*

*Istnieje w naszym kraju parę ładnych tysięcy ludzi, dla których literki SWA i SWW są skrótami pełnymi znaczenia, nabitymi wielkim ładunkiem pracy, brzemiennymi w ogromne i wielorakie konsekwencje. Na pewno wśród czytelników „Odgłosów" też tacy ludzie się znajdą. Cóż to za skróty? Zwyczajnie: Systematyczny Wykaz Asortymentów i jego część — Systematyczny Wykaz Wyrobów.*

*Zbyt trudno byłoby wyjaśnić tu całą rzecz, więc tylko w wielkim skrócie: chodzi o to, że każdy surowiec, materiał, narzędzie, każdy bez wyjątku towar otrzyma swój numer. System numerów jest tak pomyślany, że, choćby nie wiem jaki nowy, nie istniejący jeszcze, towar wymyślić numer już na niego czeka. Jest to mianowicie system, gdzie każda następna cyfra w liczbie odnosi się do innej, coraz szczegółowszej cechy. Dla przykładu: jeśli pierwsza cyfra oznacza surowiec, druga grupę wyrobów, trzecia płeć użytkownika, dla którego wyrób przeznaczono, czwarta — sezon użytkowania; jeśli na pierwszym miejscu 2 oznaczy skórę, na drugim miejscu — 4 obuwie, na trzecim miejscu 5 — panów, na czwartym miejscu 1 — zimę — to taka liczba: 2451 oznacza: skórzane obuwie dla panów na zimę. Dalsze cyfry podają coraz to szczegółowsze cechy i wreszcie w 15—17 cyfrach można zawrzeć wszystko, co się o danym wyrobie chce powiedzieć*

*Ułożenie SWA i SWW jest niezmiernie trudne, ale jakie proste staje się wszystko później: za naciśnięciem odpowiedniego guzika maszyna licząca sumuje i odpowiednio klasyfikuje pierwsze cyfry — i wiadomo wszystko o wyrobach skórzanych. Albo trzecie cyfry — i wiadomo wszystko o wyrobach dla panów. Albo czwarte cyfry — i wiadomo wszystko o wyrobach na zimę. Przez odpowiednie kombinacje w komputerach obliczą one natychmiast, ile dla przykładu potrzeba zużyć cieplutkiej podszewki, żeby wyprodukować potrzebną ilość botek zimowych męskich; ile do tej podszewki trzeba zużyć wełny; ile zaangażować do tego maszyn, ile to będzie kosztować, jeżeli... i tak dalej. Oto, jak postęp techniczny, odnoszący się przecież — elementarnie biorąc — do manipulowania martwą materią, postęp, który doprowadził do zbudowania komputerów, rewolucjonizuje klasyczną arystotelesowską logikę, naukę o myśleniu. Teraz my musimy nasze myślenie dostosować do maszyn, uczynić je strawnym dla maszyn, a to znaczy po prostu: wiecznie wszystko schematyzować, klasyfikować, szeregować, ująmować w bardzo konkretne kategorie i zamieniać na cyfry.*

*„Wszystko" — powiedzieliśmy wyżej. Przed dwoma laty oglądaliśmy to na francuskim filmie fantastycznym „Alphaville". Każdy obywatel miał tam na karku wytatuowany numer — i nie potrzebował żadnych dowodów. Z numeru było wiadomo wszystko, oprócz imienia i nazwiska, ale przecież imię i nazwisko nic nie znaczą, nic o osobniku nie mówią: identyfikują go tylko, a liczba zrobi to dokładniej.*

*Taki SWL — Systematyczny Wykaz Ludzi — to genialna rzecz. Weźmy przykład: na stację Pogotowia Ratunkowego przywożą rannego mocno pod muchą. Nazwisko podał, imię też. Miejsce zamieszkania? Nowosolna. Bliższy adres? — Tam, zaraz za Karczmarkiem. Ile lat? Nie wiem, ale urodziłem się w którymś tam roku. Miejsce pracy? Taki skład. Ale adres? Tam nie ma adresu, bo się wchodzi przez portiernię — i tak dalej. Pani w fartuchu denerwuje się i krzyczy na rannego. A za parę lat spojrzy na kark ofiary, nakręci odpowiedni numer w telefonie i za moment wie wszystko o niefortunnym pacjencie.*

*Niepotrzebne będą żadne świadectwa, poświadczenia, referencje. Wszystko w zaszyfrowanej, zamienionej na cyfry formie znajdzie się w centralnej kartotece pod odpowiednim numerem, tzn. numerem danego obywatela. Przy dzisiejszych metodach miniaturyzacji można, jak wiadomo, miliony informacji zawrzeć w malutkim kryształku kwarcu. Centralna kartoteka być może zmieści się w trzech pokojach bez kuchni. Odpowiadać będą na sto tysięcy pytań jednocześnie automatyczne informatorki w rodzaju zegarynek. Nie wiem, co jeszcze wymyślić, Lem zrobi to lepiej.*

*To jest genialne i to jest niesamowite. Zapewne — trzeba się oswoić, przyzwyczaić. Na razie widzę całą sprawę jako sprowadzenie człowieka do paru cyfr, do fiszki, która będzie decydować o jego życiu. Każda dwója ze szkoły będzie dwóją dożywotnią, a wiadomo, że nawet płeć niekiedy ulega zmianom. Opinia Walczaka i Woźniaka zwiększy szereg liczb i będzie czytelna dla wszystkich. — Pan masz na dziewiętnastym miejscu cyfrę nieparzystą, coś pan wtedy leczył, katar? Katar to trójka, a tu jak byk dziewiątka. Rządzenie ludźmi stanie się tak łatwe, jak „rządzenie" przedmiotami. Potrzebny buchalter — to się bierze odpowiednio numer 323, chociaż on właśnie chciał się przestawić na hodowlę pieczarek w piwnicy teściów. Żonaci — kategoria 2 — wystąp! A przecież wiadomo, że są tysiące ludzi pół-żonatych, ćwierć-żonatych, podwójnie żonatych itd.*

*Pardon, trochę człowieka ponosi, trochę się wpada w panikę.*

*ĆWIEK*

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Loboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-38 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 140. H-4